

W numerze:
Lucjusz Włodkowski
**OD WISŁY
DO JEZIORAKA**

**miłych
i zdrowych
świąt**



życzy redakcja

Zbigniew Wojciechowski
**BÓG SIĘ RODZI
W MIEŚCIE ŁODZI**

**OPOWIEŚCI
Z HONGKONGU**

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ŁÓDŹ

ODGŁOSY

ROK XX NR 52 (1046)
25 GRUDNIA 1977 R.
CENA 5 ZŁ

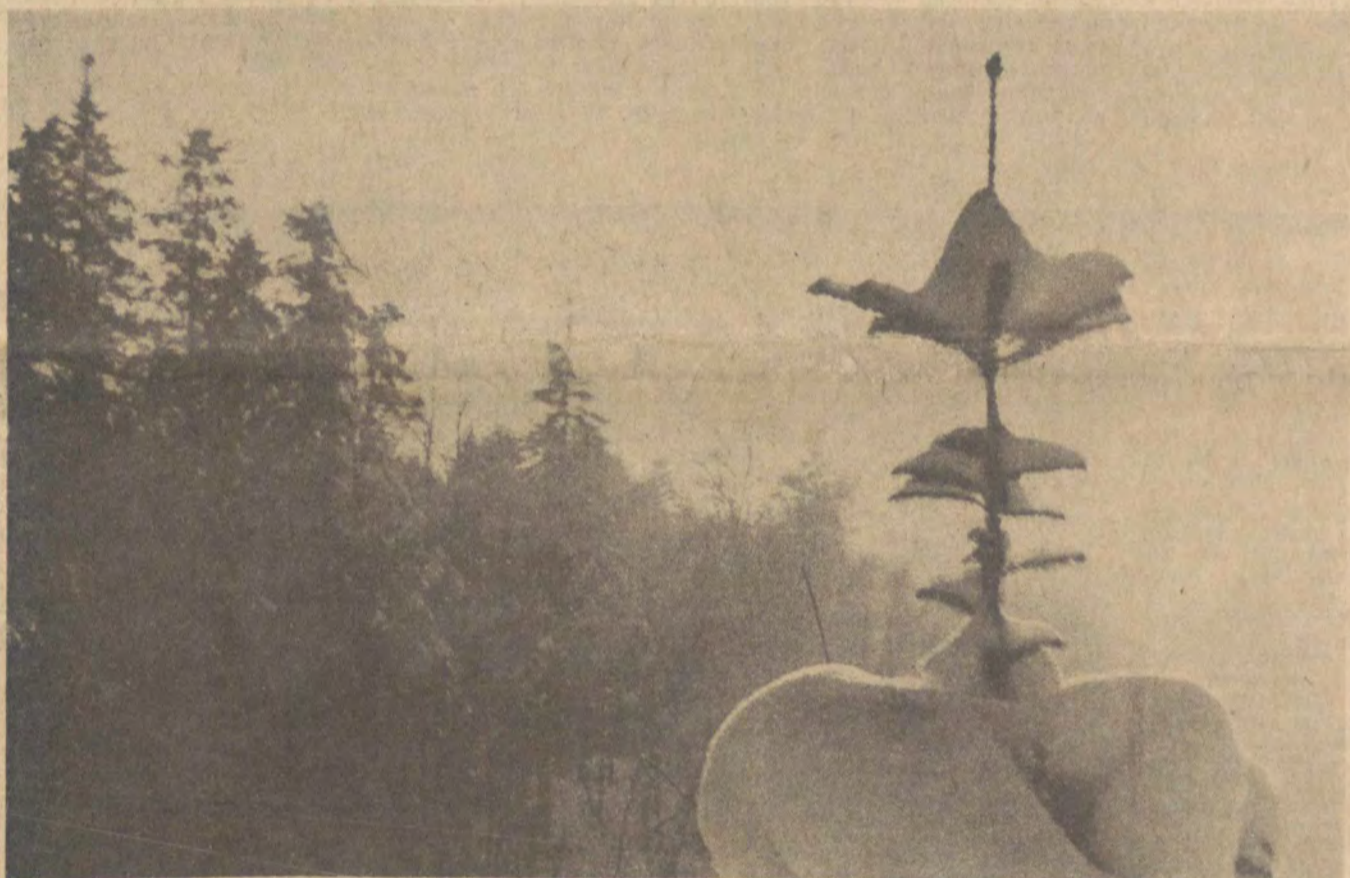


Foto: W. Paris

EUGENIUSZ ONIEGIN

str. 16

Rafał Orlewski

Z KŁOCKA RODEM

I
Porodziło mnie moje matczyńskie, a wywodziło się z Milków, w październiku 1909 roku we wsi Kłocko koło Sieradza — to jak się na Monice działo. Miała matka już drugiego chłopca, bo pierwszy, Borkowski zwanym, pomarańczę nie. Ten drugi, czyli mój ojciec rodzony, miał wtedy 31 lat, dobry był chłop, ale krewki i taki jakiś w sobie porzucany jak jego ziemia, której pęć kawałków w różnych miejscach się znajdowało, a plac z chalupką i stodołką był jako szóste... „miejsce na ziemi” — jak to dzisiaj gęgają moje kształcące po wojnie dzieci.

Niezgorzej by to było jak na tamte czasy, ale poletka ojca jałowe były, psia ich mać, zbierało się z nich mało-wiele, a tu po mnie sypały się następne chłopaki i dziewczuchy, bo jakem rzekł — Marcin krew miał w sobie nie wodę. No i bieda skwierczała zamiast skwarków na patelni. To Marcin furman i, żeby przyrobić i te kilkanaście gęb nakarmić. Chociaż, jakby chciał do końca prawdę powiedzieć to chyba się nie omył, że Marcin nie tylko z biedy lubił furmanić przez całe tygodnie, ale i z tego, że taki był: zawsze go coś i gdzieś ciągnęło. Ja zaś odczuć to musiałem na sobie jako najstarszy. Kiedy dzisiaj najmłodsza wnuczka wzięła na moje stare plecy i prosi, żeby ją „na barana” ponosić, to sobie myślę: „Jak się czasy zmieniły, cztery lata jak ona — ta wnuczka, miałem i już pasalem gęsi, potem krowy”. A jak byłem już taki stary, że 7 lat przeżył, to robiłem końmi na roli: wioczyłem, podorywałem, nieraz mnie plug zbarował, bom za słaby jeszcze był. Za broną, kiedy wioczyłem, najlepiej się chodziło boso, tylko że czasem mróz wcześniej chwycił i ziemia gryzła jak zły pies, aż krew leciała z popękanych pięt.

Zimy były wtenczas srogie, dla biedaków szczególnie nielitościwe. Nade mną też się nie użalały, bo niby dlaczego miały się użalać, kiedy rodzona matka czy ojciec nie mieli na to czasu, chyba nawet nie umieli się tak cackać z dziećmi jak to się dzisiaj robi, a wreszcie inaczej stało w ich głowach względem dzieci; choćby taki przykład, że jak które umarło, to na wsi i sami rodzice gadali: „Bóg dał, Bóg zabrał”. Po mnie jakos Kostuchy nie wysyłał, ale było i tak, że się nieraz o mnie otaria, ale to już w późniejszych latach...

No to i zimą się nie odpoczywało. Worki z sieczką i ceberki wody dźwigałem do pysków „inwentarza”, a to jeszcze najłatwiejsza robota — niedługo przyszło chwytac za cepy i walić w liche zboże rozciągnięte na glinianym klepisku. Matka się cieszyła i pochlebiała, że najwięcej zarobię na swojej przysiężonej gospodarza. W piersi mnie to rozpiekało, bo człowiek głupi był, myślał że na ojcowiznie zostanie, jakoby jednak jaki. Nieraz, kiedy już doganiałem tę lisią kitę siedemdziesiątki, dumam sobie: „Może to i dobrze, że tak wyszło, to jest że nie zostałem na roli, choć mnie prawie całe życie do niej ciągnęło, bo jak się kto na roli urodził i beczkę swojego potu w nią wlał, to trudno mu się potem odzwyczaić, a jeszcze trudniej zapomnieć.

A różnie z tym bywało — i to także nie dziwota, tak już jest z człowiekiem, póki żyje. Nie inaczej bywało z moim dziadkiem, pamiętam go *jeszcze*, a różne zdarzenia z życia dziadka ojciec mi przekazał; to i opowiem.

Tak było za czasów mojego dziadka, że zaraz po żniwach soltys, który wtenczas rządził wioską, nie pozwalał uprawiać ziemi, żeby na rzysskach było się pasło do jesieni. Lewandowski się nazywał ten soltys; drań był i z pańskiej poręki gnębił chłopów. A mój dziadek był zawzięty i uparty, głównie z tego, że nienawidził pańszczyzny. Swoje pole chciał po swojemu uprawiać, żeby lepiej rodziło. Kiedy już skosił żyto, wspólnie z babką je powiązał i ustawił w kopki, to nazajutrz wstał wcześniej do dnia i orał swoje pole. Soltys prędko się dowiedział o tym, wsiadł na konia, dziadka zastał na polu i zabrał mu plug. Dziadek cały wieczór zgrzytał zębami, do nikogo się nie odzywał, a przed świtem załadował na wóz drugi plug, brony, lutin i wioł na pole. Zanim się soltys dowiedział, pole było zaorane i zasiane. No to Lewandowski krew półpańska zalała, zebrał chmarę chłopów i przypędził ich na tę czarną i świeżą, jeszcze wstającym rankiem parującą ziemię, a w łapie trzymał grubego chanaja czyli bykowca.

Dziadek nie przeląkł się i jak zobaczył, że soltys z chłopami idą, brony



Autor na szczycie Corcovado

Elżbieta Makowiecka

ANDRZEJ
MAKOWIECKI

**RIO
DE JANEIRO**

str.
10-11

Dalszy ciąg na str. 4

PODSUMOWANIE ROKU

19 grudnia odbyło się plenarne posiedzenie Komitetu Łódzkiego PZPR, którego zasadniczym tematem była ocena realizacji zadań społeczno-gospodarczych 1977 roku i wytyczenie kierunków działania na rok przyszły. Dotychczasowe wyniki oraz przyszłościowe zamierzenia i potrzeby rozpatrywano w nawiązaniu do uchwał IX Plenum Komitetu Centralnego, a także jako wstępny bilans tego, z czym wojewódzka organizacja Partyjna zaprezentuje się na II Krajowej Konferencji Partyjnej.

Jak w całym kraju, członkowie łódzkiej instancji partyjnej zadają sobie podstawowe pytanie: jak realizujemy strategiczne zadania VII Zjazdu partii w praktyce podyktowanej przez warunki wewnątrz i zewnętrznych, podejmując w niektórych dziedzinach gospodarki przegrupowanie sił i środków, dążąc aktywnie do przezwyciężenia zaistniałych trudności. Mimo, iż od IX Plenum KC upłynęło niewiele czasu — jak stwierdził w referacie I sekretarz KŁ PZPR, tow. Bolesław Koperski — musimy jednak dokonywać systematycznych ocen: jak gospodarujemy, jakie są efekty naszych działań, w jakim stopniu zaspokajamy potrzeby społeczne?

Podstawowym ogniwem gospodarki woj. łódzkiego jest przemysł lekki. Dokonana w ostatnich latach, kosztem olbrzymich nakładów, rozbudowa i modernizacja tego przemysłu, pozwoliła znacznie zwiększyć potencjał produkcyjny, unowocześnić technologię

wytwarzania wielu wyrobów, stanowiących obecnie atrakcyjne oferty dla rynku krajowego i zagranicy.

W br. produkcja przemysłowa wojewódzka przekroczyła 163 miliardy zł i będzie o 9,4 proc. większa niż w roku 1976. Wysokiej dynamice produkcji towarzyszą korzystne zmiany w jej strukturze, gdyż produkcja rynkowa wzrosła o 10 proc. a eksportowa o 18 proc., udział produkcji rynkowej w ogólnej wartości zwiększył się do 42 proc. (eksportu ok. 15 proc.). Na osiągnięcie tych wyników znaczny wpływ miały zobowiązania podejmowane przez zakłady 347 zakładów, których wartość szacuje się na ponad 900 mln zł.

Tego rodzaju osiągnięcia produkcyjne korzystnie wpływają na poprawę równowagi rynkowej, kształtują lepszy klimat wśród społeczeństwa. Trzeba jednak dodać, są i takie zakłady, które próbują zwiększyć produkcję rynkową w sposób niezgodny z zaleceniami partii i istotą realizowanego manewru gospodarczego. Praktykom różnych manipula-

cji asortymentowych i cenowych instancje partyjne wszystkich szczebli powinny się zdecydowanie przeciwstawić.

Optymistycznym zjawiskiem jest fakt, że ilościowemu wzrostowi produkcji towarzyszy stała poprawa jej jakości i nowoczesności. W br. produkcja wyrobów ze znakami jakości „Q” i „1” wzrosła o ponad 30 proc., straty z tytułu braków zmniejszyły się o 25 proc., wielkość reklamacji i kar umownych spowodowanych złą jakością, obniżono o 33 proc. Poprawa jakości wyrobów nastąpiła głównie w przedsiębiorstwach przemysłu dziewiarskiego i pończosznego, skórzanego i maszynowego. Nie dotyczy to jednak takich zakładów, jak „Marko”, „Bistona”, „Ortal”, „Skogar”, „ZTK”, „Teofilów”, „Olimpia”, gdzie nie osiągnięto planowanych wskaźników jakościowych. Wrosła także ilość reklamacji jakościowych w „Próchniku”, „Dywilanie”, „Pierwszej”, w zakładach dysponujących przeciętą najnowocześniejszą techniką.

Nie mniej ważne zadanie dla gospodarki naszego województwa to eksport, jego wzrost ilościowy i poprawa opłacalności, biorąc zwłaszcza pod uwagę fakt, że bazujemy w znacznym stopniu na surowcach importowanych, a także za dewizy sprzedamy spore maszyny i urządzenia, na potrzeby modernizacji. Ogólnie biorąc, w br. eksport miał wysoką dynamikę (np. wzrost o 9 proc. do krajów kapitalistycznych), ale do wykonania planu zabrakło 45 mln zł dewizowych. Z działających na naszym terenie central handlu

zagranicznego typu „Ciech-Stomil” wykona zadania eksportowe do krajów kapitalistycznych. Przyczyny takiego stanu rzeczy są złożone (poświęcimy im oddzielny artykuł). Na pewno w znacznej części wynikają z dekonstrukcji panującej od kilku lat w tej strefie. Ale także prawdą jest, że nasze oferty eksportowe nie zawsze odpowiadają potencjalnym możliwościom, jakimi dysponujemy. Dotyczy to jakości, a niekiedy nawet terminowości dostaw. (Na tej liście znajdują się centrale „Textilimpex”, „Skorimpex” oraz zakłady: „Ortal”, „Skogar”, „ZTK”, „Teofilów”, „Olimpia”).

Przedstawiony powyżej wzrost produkcji przemysłu uzyskuje praktycznie bez wzrostu zatrudnienia, lecz dzięki wzrostowi wydajności pracy, przy stałym wroście płac. W br. przeciętna płaca w przemyśle wynosi 4.137 zł i jest o 8,5 proc. wyższa niż w ub. r. Jednakże w wielu konkretnych przypadkach gospodarowanie funduszem płac budzi zastrzeżenia, a przede wszystkim nieprawidłowe są relacje między wzrostem płac a wzrostem wydajności pracy (średnio w woj. w 54 proc. pokrywa się wzrost wydajności wzrostem płac). Są zakłady, gdzie wzrost płac znacznie wyprzedza wzrost wydajności, a nawet takie, gdzie wydajność obniża się a płace rosną. Np. „Bistona”, „Uniprot”, Zakłady im. Waltera, Łódzka Wytwórnia Papierosów. Zasada aktywnej polityki płacowej pozostaje nadal obowiązująca, ale wzrost płac musi odpowiadać osiągnięciem efektom. Inaczej nie zlikwidujemy napięć rynkowych.

Równie niepokojącym zjawiskiem jest pogorszenie w br. wykorzystania czasu pracy. Nastąpił wzrost absencji o 8 proc. (przeciętnie każdego dnia jest nieobecnych w pracy bez urlopów wypoczynkowych około 40 tys. osób) i jest ona wyższa o ponad 30 proc. od przeciętnej kraju. Sytuacja ta na pewno w znacznej części

wynika ze struktury zatrudnienia, ale nie tylko. Problem dyscypliny, racjonalnego wykorzystania czasu pracy jest nadal otwarty.

Wiele uwagi, zarówno w referacie tow. Bolesława Koperskiego jak i w dyskusji, poświęcono zadaniom przyszłorocznym. Zakłada się przede wszystkim dokonywanie dalszych zmian strukturalnych. Produkcja przemysłowa wzrośnie o 7,4 proc., w tym rynekowa o 8 proc., eksport o 12 proc., usługi również o 12 proc. W związku z tym istnieje konieczność wszechstronnej analizy i przeglądu profilu produkcyjnego oraz planowanych wielkości poszczególnych asortymentów produkcji każdego zakładu. Należy nadal poszukiwać możliwości zwiększenia produkcji rynkowej i eksportowej, uwzględniając ustalone w planach możliwości zaopatrzenia surowcowo-materiałowego. Odpowiedzialne zadania w tym zakresie stoją zwłaszcza przed Konferencjami Samorządu Robotniczego.

„Kluczowe zadanie planu, jakim jest poprawa sytuacji na rynku — powiedział I sekretarz KŁ — zostało w planie gospodarki naszego województwa powiązane ze wzrostem dostaw towarów rynkowych i usług, z potrzebą zdyscyplinowania przychodów pieniężnych ludności i racjonalizacji zatrudnienia. W przyszłym roku globalne przychody ludności naszego województwa wzrosną w porównaniu do bieżącego roku o 7,5 proc. Przewidywany w 1978 roku wzrost dostaw towarów rynkowych i usług będzie, zgodnie z założeniami planu, wyższy od założonego tempa wzrostu przychodów pieniężnych ludności naszego województwa”.

Założenia planu inwestycyjnego na rok 1978 ukierunkowano na zawężenie i uspokojenie frontu inwestycyjnego do rozmiarów wynikających z posiadanego potencjału wykonawczego i możliwości zaopatrzeniowych. W roku przyszłym

musi nastąpić zdecydowana poprawa dyscypliny inwestycyjnej, szczególnie w zakresie kosztów, terminowości i jakości budowanych obiektów. Od tego zależy będzie, z jakim skutkiem zostanie wykorzystane 16 miliardów zł przeznaczonych na inwestycje, głównie o charakterze modernizacyjnym. W zakresie budownictwa mieszkaniowego przewiduje się wybudowanie ponad 12 tys. mieszkań, tj. 3,5 proc. więcej niż uzyskamy w br., przy czym średnia powierzchnia mieszkania zwiększy się o 4 m kw. i wyniesie 52 m kw. Na cele związane z gospodarką komunalną przeznaczają się 1,5 mld zł.

„Założenia planu rozwoju społeczno-gospodarczego naszego województwa na rok 1978 uważamy za realne do wykonania — stwierdził tow. Bolesław Koperski. — Wszystkie powinniśmy tworzyć klimat powszechnej mobilizacji i zaangażowania całego społeczeństwa do pracy coraz lepszej, bowiem wyższy poziom życia zależy od zaangażowania każdego pracującego”.

W drugim punkcie obrad Plenium Komitetu Łódzkiego dokonał wyborów delegatów na II Krajową Konferencję Partyjną. 117-tysięczną wojewódzką organizację partyjną będzie reprezentowało 78 delegatów i 6 członków KC i CKR. Wśród delegatów są przedstawiciele wszystkich środowisk, zawodów, kobiet, młodzieży; w tym połowa robotników.

Srodowisko kultury reprezentować będą: WIESŁAW GARBOLINSKI — rektor PWSSP, ROMAN KŁOSOWSKI — dyrektor Teatru Powszechnego, STANISŁAW KUSZEWSKI — rektor PWSTFI TV, JAN PAKUŁA — redaktor naczelny „Głosu Robotniczego”, WOCIECH PILARSKI — aktor Teatru Nowego, LESZEK SKRZYDŁO — reżyser WFO i JERZY WAWRZAK — prez. ZO ZLP.

(J.W.)

NA SWIECIE

- Uchwała Sejmu
- Nowe forum dyskusji
- Podróż do Waszyngtonu

Sejm wysłuchał informacji ministra Spraw Zagranicznych o działalności państwa na arenie międzynarodowej. Powziął także uchwałę, w której zaaprobował te działania z zadowoleniem podkreślając, że „SA ONE ZGODNE Z ŻYWOTNYMI INTERESAMI NARODU, UMACNIAJĄ SUWERENNOŚĆ, BEZPIECZEŃSTWO I POZYCJĘ POLSKI, SPRZYJAJĄ WSZECHESTRONNEMU ROZWOJOWI KRAJU”.

Stwierdzając stale pogłębianie przyjaźni, sojuszu i współpracy z Związkiem Radzieckim i wszystkimi państwami socjalistycznymi uchwała podkreśla, że

poliska polityka zagraniczna kieruje się dążeniem do utrwalenia procesu odprężenia i uczynienia go nieodwracalnym. Sejm udziela pełnego poparcia konstruktywnym inicjatywom w celu zapewnienia pomyślnych wyników bełgradzkiego spotkania, wspiera doniosłe radzieckie inicjatywy, zmierzające do zahamowania wiały trwającego wysięgu zbrojeń, aprobuje wyniki rozmów i sekretarza KC PZPR we Francji i Włoszech oraz z kanclerzem RFN w Polsce. Wyraża też przekonanie, że wizyta prezydenta USA w naszym kraju „SZLUCYĆ BĘDZIE UMAC-

NIANIUM ODPRĘŻENIA I DALSZEMU POMYSŁNEMU ROZWOJOWI STOSUNKÓW POLSKO-AMERYKANSKICH”.

A teraz przejdźmy do innych tematów przeglądu aktualności.

Do serii rozmów rozbrojenio- wych można zaliczyć również zapowiedziane ROKOWANIA NA TEMAT OGRANICZENIA HAN- DLU KLASYCZNA BRONIA. Właśnie w Waszyngtonie rozpoczęły się WSTEPNE ROZMOWY RADZIECKO - AMERYKANSKIE, poprzedzające te rokowania.

Jest to już piąte forum bezpośredniego dialogu między dwoma wielkimi mocarstwami. Cztery pierwsze to: SALT II, rokowania w sprawie całkowitego zakazu dokonywania wybuchów jądrowych, rokowania, mające na celu demilitaryzację rejonu Oceanu Indyjskiego oraz rokowania na temat niewykorzystywania przestrzeni kosmicznej w celach militarnych.

Oczywiście ZSRR i USA biorą także aktywny udział w rokowaniach wiedeńskich i spotkaniu bełgradzkiem.

Wspomnieliśmy o Wiedniu. ZAKOŃCZYŁA SIĘ TAM III RUN- DA ROKOWAŃ 19 PAŃSTW, których celem jest wzajemna redukcja sił zbrojnych i zbrojeń w Europie środkowej. Dyskusja wznowiona zostanie 31 stycznia.

Cztery i półroczny okres rokowań nie przyniósł jeszcze finalnych wyników. Nie wpłynął też na pohamowanie zbrojeń. Podstawowa różnica dotyczy stopnia redukcji. Nienaruszenie obecnej równowagi, a także prosta zasada sprawiedliwości wymagają obniżenia sił zbrojnych i zbrojeń o te same wielkości. Niestety, państwa zachodnie, jak to wielokrotnie pisaliśmy, wciąż się nie godzą na tę regu-łę.

Nie był to jednak okres stracony, nastąpiło wzajemne poznanie stanowisk, dokonano w różnych układach wymiany poglądów, co — chcemy w to wierzyć — powinno owocować oczekiwanymi porozumieniami.

Bliski Wschód nadal znajduje się w orbicie zainteresowania kół politycznych. Nowym ele-

mentem sytuacji jest NIESPO- DZIEWANA PODRÓŻ IZRAEL- SKIEGO PREMIERA BEGINA DO STANÓW ZJEDNOCZO- NYCH. Zawiązał on najprawdopod- obniej plan tzw. przygotowaw- czej konferencji kairskiej, która zdaniem obserwatorów — może doprowadzić do separatyście- nego porozumienia izraelsko-egip- skiego.

Wizyta w Waszyngtonie jest na ręce Carterowi, gdyż pozwoli jego administracji ponownie otworzyć włączyć się w blisko- wschodnią grę. Wyimpasowała je z tej jawnej rozgrywki spektak- kularna podróż Sadata do Jero- zolimy.

Złożoność obecnej sytuacji ilu- struje m. in. fakt, że rozmowy sekretarza stanu Vance w kra- jach arabskich mają na celu zagołzenie ich antysadato- wskiego stanowiska. Jak wiemy z doniesień agencji — nie przyni- osły one żadnego rezultatu.

Tymczasem w KAIRZE ROZ- POCZĘŁA SIĘ WSPOMNIANA POWYŻEJ KONFERENCJA. UPI stwierdza, że już wstępne spotka- nia ujawniły „różnice w rozmiar- zmiary przepaści, dzielące Izra- elczyków i Egipcjan”.

Obrady, toczące się przy

drzwiach zamkniętych, mają po- trwać w swej pierwszej fazie ok. 10 dni. Komentatorzy kwes- tionują szerszość wypowiedzi szefa delegacji egipskiej na tę konferencję, gdy twierdził on, iż celem dyskusji jest przygotowa- nie konferencji genewskiej. U- waża się raczej, że separatyście- czne rozmowy w Kairze utrud- nia spotkanie w Genewie.

Pisze o tym np. syryjski dzien- nik „Tiszrin” słowami: „Zachę- cając Egipt do bezpośrednich rozmów z Izraelem — Amery- kanie zaprzeczali możliwość wznowienia genewskiej konfe- rencji pokojowej”. A „Internat- ional Herald Tribune” dodaje: „...Jeśli na Bliskim Wschodzie ma być przywrócony prawdzi- wy pokój — to można to osiągnąć tylko za zgodą wszystkich kra- jów arabskich”.

STOPIEN KOMPLIKACJI SY- TUACJI BLISKOWSCHODNIEJ JEST OBECNIE WYŻSZY NIŻ PRZED NAWIĄZANIEM PRZEZ EGIP- T BEZPOŚREDNIEGO KONTAKTU Z IZRAELEM. I to jest właśnie cena sadatowskiej inicjatywy.

W. SŁAWSKI

U PRZYJACIOŁ

Ważnym wydarzeniem w ży- ciu kulturalnym Związku Ra- dzieckiego był V Zjazd Związku Plastyków ZSRR. Obrady miały miejsce w Wielkim Pałacu Kremlofskim, z udziałem przed- stawicieli kierownictwa partii i rządu. Prace zjazdu były szeroko relacjonowane przez prasę, radio i telewizję, dzięki czemu z przebiegiem obrad mogły się zapoznać miliony ludzi.

Zjazdy radzieckich plastyków odbywają się co cztery lata. Ich głównym celem jest ocena dzia- łalności w minionym okresie i wytyczenie projektów dalszej pracy. Zjazdy są oczywiście rów- nież najwyższym forum dla dys- kusji merytorycznych. Np. na

obecnym Zjeździe delegaci raz jeszcze potwierdzili, że „realizm socjalistyczny był, jest i będzie głównym kierunkiem radzieckiej sztuki. Stwarza on bowiem szerokie możliwości twórcze, pomaga widzieć rzeczywistość w jej rewolucyjnym rozwoju. Realizm socjalistyczny, mimo że ma swoje założenia, (jak miał je roman- tyzm, impresjonizm, realizm) nie ogranicza twórczości”.

Jeden z delegatów, gruziński malarz Lado Gudiaszwili, powie- dział: „Główny cel, dla którego się zbieramy to rozmowa o tym co daje nasza twórczość ludziom, społeczeństwu, światu. Co dajemy sobie człowiekowi? To odwie- czne pytanie zadaje sobie każdy prawdziwy artysta przez całe swe życie”. Te słowa najlepiej charakteryzują istotę rozumienia roli twórczości w społeczeństwie socjalistycznym.

Zjazd zajmował się także sprა-

wami organizacyjnymi, m. in. dalszym rozwojem Związku.

W ZSRR tworzą tysiące plastyków- amatorów, ich prace prezentowa- ne są na licznych wystawach. Aby jednak zostać członkiem Związku Plastyków trzeba się wykazać rzetelnym, bezspornym talentem. O przyjęciu do Związku decyduje poziom artystycz- nych dzieł adeptów tej sztuki. W okresie międzyzjazdowym przyjęło do ZP ZSRR ponad 2300 osób. W okresie tym urzą- dzono wiele wystaw, których rola nie ogranicza się tylko do prezentacji wybranych prac. Otóż planując ekspozycje Zwią- zek powołuje komitet organizacyj- nych, który zawiera umowy z twórcami, określa wysokość wynagrodzenia za zgłaszane prace. Aby pomóc malarzowi lub rzeź- biarzowi w realizacji dzieła udziela mu się delegacji twórczej do różnych miejscowości Kraju Rad. Działa poza tym sieć do- mów twórczych, w których u-

rażone są pracownie dla prze- bywających w nich plastyków.

W V Zjeździe ZP ZSRR uc- zestniczyli 763 delegatów repre- zentujących 15 800 członków. W ciągu ostatnich czterech lat ich prace eksponowane były na 16 tys. wystawach, które obejrzało ponad 34 mln osób. Za granicę wysłano z ramienia Związku 158 wystaw. Z wyjazdowych de- legacji twórczych skorzystało 7600 artystów.

W czasie Zjazdu otwarta zo- stała w Moskwie wielka ekspoz- ycja poświęcona 60 rocznicy Rewolucji Październikowej. Zgro- madzono na niej ok. 4 tys. prac 1700 artystów ze wszystkich re- publik Kraju Rad.

Po raz dwudziesty spotkali się w Lipsku twórcy filmowi i te- lewizyjni z całego świata. Jubi-

leuszowy międzynarodowy festi- wal twórczości dokumentalnej i krótkometrażowej okazał się pod wieloma względami rekordowy; do Lipska przybyło 1200 gości z przeszło 70 krajów, w tym liczn- ni przedstawiciele państw Trze- ciego Świata. W ciągu 8 dni wy- świetlono prawie 200 filmów u- kazujących panoramę dzisiejsze- go świata i problemów współ- cześniego człowieka.

Festiwal lipski od początku cechuje konsekwencja ideowo- programowa. Impreza ta jest przeglądem dzieł politycznych, zaangażowanych w walkę o pokój i postęp społeczny, dema- skujących przejawy militarysty i rasizmu, zgodnie z hasłem festi- walu: „Filmy świata w służ- bie światowego pokoju”. Rów- nież taki charakter miał „Lipsk 77”.

Jubileusz 60-lecia Października skłonił organizatorów do urza- dzenia przeglądu retrospektyw-

nego pn. „Nowe radzieckie fil- my dokumentalne”, w połącze- niu z klasycznymi dziełami tego gatunku. Jeden z filmów tego zestawu „Opowieść o komunis- cie” w reż. Igora Biessarabowa i Aleksandra Koczetkova, po- święcony życiu i działalności Leonida Breżniewa) otrzymał Honorowego „Złotego gołębka”.

Międzynarodowe jury przyzna- ło „Złote gołębki” filmom z NRD i Bułgarii. Nagrodę specjalną otrzymał film kubański o Ernesto Guevarze. Dwa „Srebrne gołębki” wywieźli z Lipska filmowcy radzieccy, po- dobne wyróżnienia otrzymał filmowcy z NRD i Vietnamu.

Polscy filmowcy, niestety, nie odegrali tym razem poważniej- szej roli, nie powtórzyli sukces- sów sprzed lat. W tej ogromnej konkurencji sprawdził się jedyn- i Andrzej Szczygiel z łódzkiej WFO otrzymując dyplom hono- rowy za film o Feliksie Dzier- żynskim.

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREIDLICH, EUGENIUSZ IWANICKI, WIESŁAW JA2D2VNSKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, TOMASZ SOLDENHOFF, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), GRAZYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego) JE- RZY WILMAŃSKI (sekretarz redakcji) Stałe współpracują: JAN BABIŃSKI ANDRZEJ BLAJER, TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, ANDRZEJ MAJER, EWA NURCZYŃSKA, JERZY PANASEWICZ, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPANSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI-GLANC.



Foto: W. Matek

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

OD WISŁY DO JEZIORAKA

Cichł i oddalał się terkot karabinów maszynowych, huk rozrywających się bomb i warkot samolotów. Oczy miał zamknięte. Czuł tumany kurzu, które wszystko przykrywały, zasłaniały i wciskały się w najmniejszą szparę. W takim kurzu nie widać. Nawet twarzy tych, którzy tuż obok przytulili się, przwarli do barykady. Ale oczy trzeba wreszcie otworzyć. Trzeba spojrzeć na przedpole, gdzie z kurzu w każdej chwili mogą wyłonić się Niemcy.

Cisza była kojąca. Tylko szumiało coś jednostajnie. Otworzył powoli oczy i zobaczył okno. Miało szyby i białe firaneczki. Deszcz miarowo bil o szyby i stał się ten jednostajny szum. A więc był w szpitalu. W lubelskim szpitalu zapchanym rannymi do ostatniej możliwości. Jest więc już po tragedii Warszawskiego Powstania, po przeprawie na drugi brzeg Wisły. Zatłoczony lubelski szpital wydaje mu się teraz rajem.

Ale przeszłość wraca sennymi koszmarami. Kiedyś przysniła mu się akcja na bar przeznaczony tylko dla SS i mundurowej policji. Była to ich pierwsza akcja. Bar mieścił się przy ulicy Nowogrodzkiej 15. Bombę skonstruowali z „Gustawem”. Rzucił „Antek”. Zabili 16 esesmanów i ranili 32, a do zabitych trzeba dodać wartownika przed barem, granatowego policjanta i tajniaka.

We śnie jednak było inaczej. Z bomba biegł nie „Antek”, ale „Adam”, który nie brał udziału w akcji, a który później zginął zamordowany przez gestapo. Wpadł po nieudanej próbie rozbrojenia niemieckiego żołnierza, postrzelony przez tajniaka.

Śniło mu się też, jak został ranny. A rany był dwukrotnie. Drugi raz w czasie przeprawy przez Wisłę. W snach wszystko się mieszało. Akcja przed Powstaniem, walka na barykadach, cudowne niemal ocalenie na Starówce, przeprawy kanałami i wreszcie ostatni atak na żoliborski przegrod Wisły, kiedy zdecydowali się przeprawić na prąską stronę.

Było ich chyba pięćdziesiąciu. Zdecydowali się na ten ryzykowny krok mimo pogłosek, że Niemcy spodziewają się takiego ataku i ich zmasakrują. Ale Niemcy takiego ataku nie spodziewali się. Przedarli

się więc dość łatwo. Najpierw przekroczyli wał wiśniany, później pas nadbrzeżnych zarośli i biegli przez wielką łachę piasku w kierunku rzeki, gdy wybuchł granat. Odlamek ranil go w nogę. Mógł jednak biec dalej.

Potem była dramatyczna przeprawa przez zimne wody Wisły. Płynęli uciepieni dziurawego kajaka. Zmarznęci, prawie nadszy, wyszli na praskim brzegu, gdzie żołnierze i Armii WP okryli ich własnymi płaszczami.

W czasie przeprawy przyplątało się zakażenie. Decyzja lekarza była krótka: Do Lublina do szpitala! Na szczęście nogi nie trzeba było amputować. — Wszystko powinno się dobrze skończyć — zapewniał lekarz w Lublinie, ale leżeć trzeba. A gorączka nocą wyzwała ze skołatannej pamięci obrazy przeszłości, mieszała je, wyolbrzymiała, potęguje. Sny na szczęście kończą się rano i zaczyna się szpitalna codzienność.

Za oknami jesienna szaruga. W szpitalu jeszcze cicho. Ktoś jęknął czasem, ktoś zachrapiał, ktoś zawała, nekany widać niespokojnymi snami. Trzeba leżeć. Jak długo jeszcze? Przecież chciałoby się być teraz zupełnie gdzie indziej. Ot, choćby z tymi, którzy poleciali na niemieckie tery.

Przyszli któregoś październikowego dnia. Zupenie nie pasowali do szpitalnej atmosfery. Przejeli byli swoją nową misją. Przyszło ich sześciu: „Tadek”, „Brazowy”, „Don Kichot”, „Jurek”, „Sancho Pansa”, „Juliszka”, a z nimi dowódca ich grupy desantowej — major „Piotr”, „Tadek” i „Brazowy” awansowali na poruczników. Reszta — na sierżantów. Oczy im się śmiały. Przyszli zameldować swojemu byłemu dowódcy, że otrzymali nowe, ważne, trudne i niebezpieczne zadanie, że są potrzebni, że są nadal powoływani do zadań specjalnych. Żeby był z nich dumny i żeby wiedział, że pamiętała o nim.

— Szkoa, że nie mogę z wami jechać — powiedział.

— Ty się już nawojowałeś — na to „Tadek”.

Trzeba więc leżeć, gdy inni walczą. Wcale się nie nawojował, choć na swoje 21 lat przeżył już sporo. Z

Powstańca wyszedł jako kapitan. W I Armii Wojska Polskiego stopień ten zatwierdził. W okupowanej Warszawie dowodził Batalionem AL im. „Czwartaków”.

— On miał rację — powiedział któregoś dnia leżący obok porucznik WP.

— Kto?
— No, ten desantowiec.
— Nie rozumiem. W jakiej sprawie miał rację?

— Ze pan się już nawojował. Porucznik przed wojną był adwokatem. Wojenne losy rzuciły nim po świecie aż wreszcie znalazł się w Dywizji WP im. Tadeusza Kościuszki. Czterdziestkę miał już za sobą i sporo życiowego doświadczenia.

— Wojna się już kończy — powiedział.

— Niemcy trzymają się nad Wisłą — oponował. — Warszawa w ich ręku. Moi koledzy dalej walczą.

— To prawda, ale ile jeszcze tej wojny? Niemcy długo nie połączą. Jak rok wytrzymają, to będzie wszystko.

— Sami się nie poddadzą.
— Święta prawda.
— Trzeba więc z nimi walczyć.
— Nie zaprzeczę.

— Więc jak pan może mówić, że już się nawojowałem.

— A jednak będę obstawał przy swoim — porucznik był uparty.

— Nie rozumiem pana.

— Co tu jest do rozumienia. Walczyć z Niemcami trzeba do końca, ale trzeba już myśleć też i o tym, co będzie się robić po wojnie. Trzeba myśleć o sobie już nie tylko jako żołnierzu, ale i jak o człowieku żyjącym i działającym w wolnej Polsce, w czasach pokoju.

Porucznik miał rację. Ale jego racja drażniła. Wykuruje się — myślał — i pójdzie dalej walczyć. Walka z wrogiem była do tej pory treścią jego życia. A tu teraz każą patrzeć w przyszłość inaczej.

— Co chce pan robić po wojnie? — nie dawał za wygraną porucznik, sąsiad ze szpitalnej sali.

— Nie wiem.

— No to trzeba już o tym pomyśleć. Czasu tu na myślenie jest sporo. A pomyśleć warto, aby się pan później nie znalazł w próżni. Po wojnie będzie ludziom potrzebna wiedza, a pan do tej pory nie bardzo miał czas na naukę.

— Skończyłem wydział okrętowy w dwuletniej szkole technicznej — powiedział któregoś dnia porucznikowi.

— I chciałby pan dalej się uczyć w tym samym kierunku? — zapytał porucznik.

— Pewnie, że chciałbym. Ale Gdynia jeszcze w rękach hitlerowców. Warszawa w gruzach. Ile trzeba będzie czasu, aby powstała wyższa morska uczelnia?

— A Gdańsk?

— Co — Gdańsk?

— O Gdańsku pan nie pomyślał — powiedział porucznik. — Po wojnie Gdańsk musi być nasz. A w Gdańsku była politechnika.

O Gdańsku nie myślał. Ale o dalszej nauce zaczął myśleć coraz częściej. Trochę się wstydził tych myśli, nawet przed sobą. Nie był bowiem pewny, czy teraz, kiedy jego koledzy jeszcze walczą, wypadało myśleć o nauce. Porucznik jednak o takiego myślenia zachęcał. W rozmowach powracał do tego tematu. Kiedy wychodził ze szpitala, powiedział:

— Niech pan pamięta, że wojna skończy się już niedługo i że w czasach pokoju potrzeba będzie fachowców.

— Do widzenia, poruczniku! Będę pamiętał.

2.

W październiku 1943 roku Sztab Główny Gwardii Ludowej podjął decyzję utworzenia oddziału do zadań specjalnych. Oddział ten utworzono z członków ZWM, a jego dowódcą został ówczesny dowódca dzielnicy ZWM „Zolborz”: „Konrad” — Lech Kobyliński. Już w grudniu grupa do zadań specjalnych stała się plutonem, a na początku 1944 roku — kompanią szturmową Armii Ludowej. Wiosną 1944 roku był to już Szturmowy Batalion Armii Ludowej im. „Czwartaków”.

Pierwszą akcją grupy do specjalnych zadań był atak na bar dla SS i policji przy ulicy Nowogrodzkiej 15. W akcji tej uczestniczyli: „Konrad” — Lech Kobyliński, „Gustaw” — Edwin Rozlubirski, „Zygmunt” — Ryszard Kazala, „Antek” — Antoni Szulc, „Tadek” — Tadeusz Pietrzak, „Mirek” — Lech Matawowski i „Gór” — Jerzy Sawicki.

„Czwartacy” wpisali na swoje bo-

jowe konto liczne akcje zbrojne i propagandowe. Rozbrajali granatowych policjantów, żołnierzy niemieckich, urzędników i esesmanów. Wypisywali hasła, rozdawali ulotki, kolportowali prasę konspiracyjną. Wykolejali pociągi na liniach Warszawa — Radom i Warszawa — Mińsk Mazowiecki. Rekirowali u Niemców pieniądze na potrzeby organizacji, żywność i odzież, która przekazywano leśnym oddziałom AL. Niszczili niemieckie samochody. Wykonywali wyroki śmierci na agentach gestapo.

W czerwcu 1944 roku, w czasie próby wysadzenia w powietrze stacji rozrządowej w Warszawie, ranny zostaje „Konrad” — Lech Kobyliński. Budynek nastawni był silnie obsadzony przez Niemców. Akcją trzeba było przerwać. Ale w czasie powrotu z tej akcji, pod wiaduktem na ulicy Radzywińskiej, patrol niemieckiej policji zaatakował obladowanych bronią i materiałami wybuchowymi: „Konrada” — Lecha Kobylińskiego, „Gustawa” — Edwina Rozlubirskiego i „Zarłoka” — Ryszarda Suskiego. Rannego „Konrada” świadek potyczki „Czwartaków” z Niemcami zabrał do domu i opatrzył mu ranę. Pod wieczór Lech Kobyliński mógł już wyjść do najbliższego telefonu i skontaktować się z niecierpliwie oczekującymi wieści kolegami. A potem było Powstanie, przeprawa przez Wisłę i znów rana.

3.

Ze szpitala wyszedł pod koniec listopada 1944 roku. W wojsku dał mu awans na majora i skierował do Naczelnego Dowództwa Wojska Polskiego. W wydziale operacyjnym Naczelnego Dowództwa praca nie była zbyt skomplikowana. Zajmował się kontrolowaniem ruchu wojsk, nanoszeniem ich pozycji na mapy. Nie było to ani trudne, ani też ciekawe.

Zwrócił się więc do generała Mariana Spychalskiego — zastępcy naczelnego dowódcy WP do spraw polityczno-wychowawczych — z prośbą o zwolnienie z wojska. Generał Spychalski prośbę wysłuchał, ale jej nie spełnił.

— Uczyć się chcecie — powiedział.

— To i dobrze. Przyjdzie i na to czas. Ale teraz z wojska odejść nie możemy. A co chcielibyście studiować?

— Okrętownictwo.

— No, to mogę was przenieść do Gdańska. Tam się właśnie formuje Marynarka Wojenna. Tam będzie politechnika. Dacie tam sobie jakoś radę. To dla was moge zrobić. Przydadcie się tam.

Komandora podporucznika Lecha Kobylińskiego przyjęto w I Samodzielnym Morskim Batalionie Zapasowym z otwartymi ramionami. Potrzebny tu był każdy znający się na sprawach morskich. Skierowano go od razu do Zjednoczenia Przemysłu Okrętowego, gdzie miał współdziałać przy organizowaniu straży stoczniowej i przygotowaniu odbudowy.

Kobyliński polskimi stoczniami interesował się raczej z obowiązku. Z pasji i zamiłowania zainteresował się powstającym wydziałem okrętowym Politechniki Gdańskiej. Późną jesienią 1945 roku został studentem tejże uczelni.

Rok 1948, początek kariery naukowej. W tym roku student Politechniki Gdańskiej — Lech Kobyliński — został zastępcą asystenta w Instytucie Aerodynamiki, gdzie też zrobił pracę dyplomową. Również jako student wykładał w Oficerskiej Szkole Marynarki Wojennej. Dyplom zrobił w 1950 roku. Po studiach był kierownikiem biura konstrukcyjnego w Stoczni Marynarki Wojennej. Wtedy otrzymał awans na komandora porucznika, co odpowiada podpułkownikowi w wojskach lądowych. W 1952 roku rozstał się z Marynarką Wojenną.

W lutym 1953 roku został mianowany adiunktem, a we wrześniu 1954 roku — zastępcą profesora. Od 1953 roku — jako najstarszy adiunkt — pełnił po śmierci profesora Kazimierza funkcje kierownika katedry teorii okrętów. We wrześniu 1954 roku otrzymał nominację na stanowisko. Jednocześnie został prodziekanem na wydziale budowy okrętów Wieczorowej Szkoły Inżynierskiej w Gdańsku.

W 1960 roku Kobyliński robi doktorat, w rok później zostaje docentem, a w następnym roku broni pracy habilitacyjnej. W tymże samym 1962 roku otrzymał nominację na profesora nadzwyczajnego i kierownika katedry teorii okrętów w Politechnice Gdańskiej. W 1963 roku został dyrektorem Instytutu Okrętowego Politechniki Gdańskiej, a rok 1969 przyniósł mu tytuł profesora zwyczajnego i Orderu Budowniczego Polskiej Ludowej.

4.

Pełniący obowiązki kierownika katedry teorii okrętów Politechniki

Gdańskiej — Lech Kobyliński znalazł się w 1953 roku w sytuacji bardzo skomplikowanej i trudnej. Z jednej strony miał świadomość odpowiedzialności, jaka spoczywała na nauce, która ma służyć budownictwu okrętowemu, wiedział, ile zależy od teorii i badań modelowych, a z drugiej strony — nie miał żadnych warunków, aby z tej odpowiedzialności móc się wywiązać. Nie było bowiem wtedy ani basenów, w których można byłoby przeprowadzać badania modelowe, nie było jeszcze maszyn matematycznych. Były tylko dobre chęci, duży zapas i znów świadomość, że zakład teorii okrętów bez możliwości prowadzenia badań modelowych będzie tworem kartkowym i ulotnym. Trzeba więc zbudować baseny do badań modelowych. Ale koszt budowy takiego przedsięwzięcia był ogromny. Skąd było w tamtych latach wziąć na to pieniądze?

W laboratorium badań modelowych imitowane muszą być naturalne warunki, z jakimi statek spotyka się na otwartym morzu. Aby takie warunki stworzyć, trzeba dysponować drogą i skomplikowaną aparaturą. Model budowanego statku też nie może być zbyt mały. Obowiązują tu również określone wymagania techniczne, gdyż inaczej całe badania mogą być nieskuteczne i błędne. Zespół basenów musi więc dysponować dużą powierzchnią, aby to wszystko można było zamontować i z całego technicznego „dobrodziejstwa” korzystać. Na jeziorze natomiast sprawa jest o tyle prosta, że sama natura tworzy warunki, że są one, jak na wymagania modelowe, prawie odpowiadające otwartemu morzu, a i przestrzeni tu pod dostatkiem. A więc trzeba szukać jeziora.

Jezioro znalazło się pod Hawą. Ma ono dziwną nazwę — Jeziorak. Przy tym jeziorze była stara, opuszczona szopa, szyny prowadzące wprost do wody i resztki zbudowanego i używanego przez Niemców wyciągu.

Zacząto od jednego modelu. Początek zawsze jest trudny. Udalo się. Okazało się nawet, że na jeziorze można robić nie tylko takie badania, które trudne są do przeprowadzenia w krytych basenach, ale i te najprostsze, podstawowe. Słowem wszystko. I tak ośrodek badań modelowych Politechniki Gdańskiej w Hawie stał się swego rodzaju ciekawostką na skalę międzynarodową.

Byli w Hawie Norwedzy, Szwedzi, Japończycy, Rosjanie, Amerykanie, Niemcy, Brytyjczycy. Organizowano w Hawie spotkania naukowe, połączone z demonstracjami. A kiedy wybuchła sprawa z wodolotami, Jeziorak przysłużył się nadzwyczajnie. Bo badań nad nimi nie można prowadzić w żadnych basenach. Wodoloty poruszają się z dużym szybkościami. Przeleca basen w kilka sekund. Na jeziorze to zupełnie coś innego. Tu można długo obserwować modele wodolotu i prowadzić badania. I kiedy później zaczęto pracować nad poduszkościami i znów jezioro okazało się niezastąpione. Pomysł więc był dobry. Ośrodek w Hawie działa do dziś i działał będzie jeszcze przez wiele lat.

Wodolot nazywa się „Zryw” i używa go Marynarka Wojenna do komunikacji wewnątrz Zatoki Gdańskiej. Jest tylko prototypem, przez jakiś czas był w służbie Żegluga Szczecińskiej, ale zdarzały mu się częste awarie i zrezygnowano z niego. Więcej polskich wodolotów nie wybudowano, bo stocznia uznała, że rozsądniej i bardziej ekonomicznie będzie specjalizować się w budowaniu coraz większych statków a żegludę bardziej będzie się opłacało kupować wodoloty w Związku Radzieckim.

Kiedy przystępowano do pierwszych badań modelowych na jeziorze Jeziorak około Hawy, nikomu nie śniło się wtedy, że wynikami tych badań zainteresuje się IMCO i że sam ich inicjator zostanie przedstawicielem Polski w tej międzynarodowej organizacji. Podlegającej ONZ i mającej ogromne znaczenie dla rozwoju komunikacji morskiej.

Fragment reportażu „Miedzy wodą a klingą szabl” z kłiszką przygotowywanej dla Wydawnictwa Łódzkiego.

Z KŁOCKA RODEM

Dalszy ciąg ze str. 1

I ptąg wsadził pod wóz, wyjął z niego kłonicę i odezwał się do chłopów, że jak się który zbliży, to zabije na śmierć. Chłopi stanęli jak to chłopi, nie posłuchali rozkazów sołtysa, który rychło dał dyla stamtąd, żeby go kłonica po grzbiecie nie dzieliła. A dziadek powędrował do chłopów, że trzeba sołtysa wywalić z jego urzędu, bo dosyć już tego, co Lewandowski wyprowadza. Jak mu się chce, tak rządzi, a gdy na wiosnę brakowało żywności, ludzie szli do tego półpanka pożyczyć ziemniaków i zboża. Lewandowski bogaty był, pożyczal ludziom ziemniaki zrosnięte, z korzeniami, na jesień zaś odbierał zysztę. Pożyczał samo ziarno żyta, odbierał ze słomą — liczył ją za procent. Za dwa kwintale zabierał chłopu wóz żyta nie młóconego, taki na trzy konie. Chłopi wybrali innego sołtysa i od tego czasu uprawiali pole podług swojej potrzeby. Ale zaraz inne wioski zaczęły się buntować, nie wiem jednak, czy im się udało swoich ciemiężców przegnać.

Niejedną taką burza była w życiu dziadka, to i nie dziwota, że mój ojciec w jego ślady poszedł. Oho, a Marcin jeszcze więcej brany był i od młodu szanowany — jeszcze przez te zasługi dziadka. Skrzykiwał chłopów na zebrania, tłumaczył im co mają robić, jak na wsi lepiej żyć. Niedługo założył ochotniczą straż pożarną i został jej naczelnikiem. Pamiętam, że wtedy były mało warte pieniądze, zwykła kura kosztowała dwa miliony, ale Marcina nie nie mogło odepchnąć od straży. Organizował zabawy, majówki, fantowe loterie, za co potem kupowali sprzęt strażacki, mundury i kaski. Dopiął i tego, że zbudował remizę strażacką, która do dziś we wsi stoi.

Z tymi, którzy byli z Marcinem bliżej, do niego w działaniu podobni, organizował zebrania tajne. Nie wiem, w czym ich tam ćwiczył i co kładł do głowy, ale jak walczą się I wojna, urobili ich potajemnie i wyruszyli razem rozbrajając Niemców w Sieradzu. Pamiętam to bardzo dobrze, bo wtenczas przywieźli do wsi cały wóz karabinów.

Marcin był mocny, nie bał się nikogo, w ogóle taki, że znane porzekadło inaczej by do niego pasowało: diabeł z Kłocka rodem. Kiedy mu żona dawała, że się palięta po wsi, po zebraniach i majówkach, obil babę aż z tydzień pojeżdżała, ale na majówki, chrzciny i wesela ją zabierał. Raz i mnie, takiego jeszcze szczoza wzięli ze sobą na weselisko. Z początku było tak, że nie gęba się rozdziawiała z uciechy i oczy na wierzch wyłaziły: hulali, tańcowali aż glinkiane podłogi grzmiły, a Marcin tej całej wodził. Musiało się to nie wszystkim podobać, paru tegich parobków napadło na niego. Zaczęli się szarpać, a baby wrzeszczały, nim nigdy tak nie słyszał. Schowałem się w kącie i wszystko widziałem. Marcin wyrwał się z kółka, złapał jednego i rzucił nim w okno. Chłopak razem z oknem znalazł się na podwórzu. Inni parli na Marcina, ale co się który zbliżył, już leciał przez okno. Taką to ci mój rodziciel miał krzepę!

W jakimś czasie po tym weselisku Marcin kupił mi elementarz i całą zimę, jak miał czas i był w domu, uczył mnie z tej książki dukać. Następnej zimy posłał mnie na potajemną naukę. Tak było przez dwie zimy, sześciu nas się uczyło czytać z elementarza i pisać. Nauczycielem był jakiś starszy mężczyzna, który nie mieszkał tu na stałe, nie miał gospodarstwa, a tylko zimową porą się pojawiał.

Tak to moje wykształcenie wyglądało i właściwie na tym się skończyło. Miałem z tego powodu kłopoty, kiedy po drugiej wojnie zacząłem pracę w fabryce: nie wiedziałem, jak tę edukację wpisać w ankietę personalną. Inni pisali: 2, 3, 5 czy 7 klas, a ja przecież nie kończyłem żadnych klas, zaś wstydziłem się napisać w rubryce „wykształcenie” — 3 zimy...

Dalej, przez wiele lat mnie i większość ludzi urodzonych na powąziuku tego wieku — kształciło życie.

Ojciec mój, Marcin, nie zagrażał miejsca w rodzinnej wsi. W 1926 roku sprzedał kłockie gospodarstwo i kupił 30 morgów ziemi w Piaskach koło Szadku. Był to grunt niezłej klasy, ale bez zabudowań.

Całe gospodarstwo, robota na roli i mozolne budowanie obejścia spadło na mnie, bo Marcin starym zwyczajem ciągle gdzieś bujał, co załatwiał, organizował, nie stroniąc od zabaw czy wesel. Tyrałem więc jak to się na wsi wtedy tyrało, moje rodzeństwo także, tyle że mnie dochodziły jeszcze obowiązki kierowania wszystkim. Znosiłem to bez utyskiwań, bom coraz starszy był i mocniejszy, a i to mnie zachęcało, że kiedyś ta praca będzie przez rodziców oceniona, że mi choć parę tych morgów zapiszą. Oj, ciemny był człowiek, ciemny, a czasy też nie otwierały innych perspektyw, nawet w marzeniach. Zdrowie mi na ogół dopisywało, kiedyś jednak (miałem jakieś 18 lat), przeziębieniem się tak mocno, że długie miesiące się z tego wyżywałem. Kiedy już wstawałem, byłem raczej cieniem dobrze zbudowanego chłopaka z czerwoną gębą, o szarych włosach sterczących jak szczytka, co jeszcze na jednym z zachowanych zdjęć odpustowych widać.

Skoro tylko wstawałem, robota czekała, a nie najlepiej mi szła, bom się uginał nawet pod władarkiem wody dla konia. Nikt się tym nie przejmował, tak to wtedy było, jak chory — niech umiera, zdrowy niech pracuje. Wprawdzie głód teraz rodzinie nie doskwierał, gospodarka powoli się rozwijała, ale większość produktów musiała się sprzedać. Użyłem więc, jak to się mówiło, „spobobu”. Podkradałem śmietaną z kamiennych garnków; prawie codziennie wypijałem kubek śmietany, toteż za kilka tygodni całkiem przyszedłem do siebie.

Wiem, że dzisiaj takie stosunki w rodzinie są nie do pomyślenia, jeśli się nawet od dzieci coś wymaga, to wszystko trzeba im zapewnić, a tym bardziej jak są chore. W czasach mojego dorastania i okresu kawalerki było zupełnie inaczej. Jak się chciało na zabawę wyskoczyć, ojciec nie dał ani grosza — i znowu trzeba było zarobić „spobobem”, albo w sezonie zaciągając się do kopania rowów melioracyjnych. W domu dzieci były po to, żeby robić i słuchać; spóbowalby się przeciwstawić, to ci wygarbowano skórę dębekami i jeszcze musiałeś przeproszać całowaniem po rękach. Z przykrością muszę się przyznać, że takie samo wychowanie stosowałem z początku wobec własnych dzieci, ale ich matka, moja żona, była już innego ducha, chociaż ledwie dwa lata ode mnie młodsza. Dzisiaj to wiem, pod starość, że trzeba było inaczej człowiek się wiele i od swoich dorosłych dzieci nauczył, im łatwiej było wyrosnąć nie na gamoni — w ludowej Polsce żyć im przyszło. Dopiero teraz mogę tak powiedzieć, bo tak czuję. Przez te długie powojenne lata nie było jednak lekko — sześć osób wyżywić, na ojowiznę dojechać i obrobić pole, najmłodszy bracia ledwie dorastali do lat, to się im pomagało, choć mnie później tyłkiem do wiatru wystawili. A tu jeszcze człowiek był bez zawodu tylko wtedy, kiedy miał, i bez szkoły. To tak, jak że mój powiedział: na własnej skórze nie czulem dużej różnicy między starym i nowym czasem — tak samo i w myśl. I w wychowaniu dzieci flugi czas byłem jak nie z tej epoki. Może dlatego już do swoich wnuków inaczej się odnoszę, nawet za miękko, aż się moje dorosłe dzieci nie mogą nadziwić, że stary tak się zmienił.

Wyskoczyłem w tej opowieści daleko naprzód, a przecież jestem w czasie przedwojennym, w początku lat trzydziestych znanych wszystkim z kryzysu światowego, o którym Marcin rozprawiał ze swoimi znajomymi, a wiedział dużo, bo jedyny we wsi miał radio na słuchawki. Za to ja wiedziałem niewiele o świecie — mój świat był inny, konkretny, bliski, możliwy do ogarnięcia gołym okiem.

„Pękło się” kawalerkę w sposób już tu zaznaczony, to zaś, co w domu było słutnione — własne „ja”, chęć wyróżnienia się spośród innych, zaimprownowania pannom i rówieśnikom — objawiało się nie zawsze w najlepszym sposobie na wiejskich zabawach. Nie powiem, żebym w charakterze był — jak to w przysłowiu „nie daleko jabłko od jabłoni” — taki jak Marcin, ale coś tam z niego we mnie zostało, no i takie zwyczaje na wsi wtedy panowały. Nie byłem więc zaczepny, ale nie dalem też sobie w kaszę dmuchać, lubiłem się podobać, w czym najbardziej przeskądzała mi stercząca szczytka włosów — że moda była na ulizane. Nie powiem — pannom się nieraz oczy świeciły na mój widok.

Jedną z nich odprowadziłem po zabawie aż pod samo obejście, trzymając ją trochę za rękę i sapiąc bardziej z wrażeń niż coś mówiąc, aż kundel na podwórzu zaczął blakotać, dziewczucha się wyrwała i uciekla do chałupy, bojąc się wytrząsku od matki lub, co gorsza, od ojca. Wiedziałem jednak, że jest mi rada, więc zacząłem do niej, do domu zaglądać. W takim przypadku żaden wytrząsk nie wchodził w rachubę, wiadomo, że jak kawaler oficjalnie, w biały niedzielny dzień się zjawia, to pewnie do żeniączki dojrzał. Nie była to

Dalszy ciąg na str. 5

Kto w dzieciństwie nie chciał być Świętym Mikołajem? Mieć bujną jak Marks i długą jak Engels brodę, czerwony aż do ziemi kożuch z kapturem, którego brzegi zdobi białe futro, w prawej dłoni trzymać złoty, w górze spiralnie skręcony pastorał, zaś w lewej nieść juchtowy work w wypchany prezentami?

Kto nie chciał zjechać z chmurki na saniach ciągniętych przez ręce jelenie i w gwieźdźną, wigilijną noc, w ciszy pośród śnieżnej bieli, wędrować z workiem na piecach pełnym radości?

On też, jak większość z nas chciał w życiu czynić dobrze, robić dobre uczynki i sprawić nimi radość innym. Wiedział, że takie postępowanie ułatwia współzycie z ludźmi, a także i jemu samemu sprawnie przyjemność. Jednocześnie wyczuwał w tej chęci obdarowywania bliźnich, czynienia szlachetnych gestów, pierwiastki egoistyczne. To jednak przyszło później.

Bo najpierw w dzieciństwie czeka się na Świętego Mikołaja. Najpierw człowiek chce brać. Dopiero później udźwiek chce dawać.

Tak więc gdy miał już spory bagaż czterdziestoletnich doświadczeń (z tego ponad trzydziści lat w Polsce Ludowej), będąc od dwudziestu lat dziennikarzem (z tego ponad dziesięć lat w partii) postanowił zostać Świętym Mikołajem. Dla własnej przyjemności. I został nim. Przez znajomości.

Jako, że Świętym Mikołajem może zostać tylko ten, kto jest studentem zrzeszonym w Studentkiej Spółdzielni Pracy „Puchatek”. On studenckie czasy zostawił w Krakowie przed dwudziestu laty, więc formalnie Mikołajem być nie mógł, choć wiek dawał mu większe szanse wcielenia się w tę rolę niż dwudziestolatkom z Uniwierku czy Polibudy.

W spółdzielni byli zdziwieni propozycją, lecz przystali na nią, zwłaszcza gdy powiedział im, że żadnych pieniędzy nie chce i niech należność za jego pracę przeznaczają na jakieś szczytne cele.

Kiedy w oznaczonym dniu zgłosił się w niewielkim lokalu „Puchatka” przy ulicy Obywatelskiej, było już kilku kandydatów na Świętych Mikołajów. Pani kierowniczka została wcześniej uprzedzona. Z zadowolaniem niezbyt formalności nie miał więc kłopotów. Na wszelki wypadek pokazał swój dowód osobisty, legitymację służbową i po chwili otrzymał zadrukowany blankiet. Było to „zlecenie usługi” z wypisanym już odręcznie przez panią kierowniczką rodzajem usługi (Święty Mikołaj), sprzętem który miał otrzymać do wykonania usługi (wasy, broda, piasecz, worek, laska itd.) oraz adresami, pod które miał się udać, by wykonać usługę. Rozśmieszył go ten papier, który wydrukowano z myślą o takich usługach jak mycie szyb, malowanie reklam, czy tapetowanie ścian, nie zaś z myślą o obowiązkach Świętego Mikołaja. Były tam takie rubryki jak: „godziny wykonanej usługi od... do...” i „jakość wykonanej usługi”. Te punkty podpisał musiał zleceniodawca. „Niech pan o tym nie zapomni, bo później mogą być kłopoty” — upominała go kierowniczka.

Z magazynu pobral czerwony piasecz z kapturem, brodę na sznurku, wasy połączone w jedną całość z nosami i okularami oraz worek na prezenty. Pojechał chwilę aż pozostali studenci odbiorą ekwipunek, zdążył wypalić przez ten czas papierosa, a gdy wszyscy Mikołaje byli gotowi poszedł z nimi na piwo. W „Górnika” o tej porze — zbliżało się południe — stoliki były jeszcze wolne. Znajoma barmanka przeniesiona tu po likwidacji „Delfina” obsłużyła ich poza kolejką. Okazało się, że on jeden był debiutantem w całym tym towarzyskim. Pozostali już w zeszłym roku dorabiali jako Mikołaje. Po pierwszym kufu przeszli na „ly”.

— Ja to jestem Mikołaj-Recydywa... już trzeci rok tak spędzam wigilie... Rodzina daleko... pod Starogardem... koleś drogą... a tak święta tamte i wesela...

— No to Wesolych Świąt!

— Wesolych!

Po drugim kufu zaczęli dzielić się swoimi doświadczeniami. Słuchał tych rad i każda starał się zapamiętać.

— Najważniejsze to nie dać się wciągnąć w niepotrzebne rozmowy. Zrobic co swoje i dalej... bo inaczej nie zdąży się wszystkich obkoczyć przed północą. A po dwunastej to już za późno...

— Na początku nie ma mowy nawet o jednym kielonku, bo jak zaskoczyć, to nie dotrwasz do końca...

— Przede wszystkim orientuj się kto jest mama, córka, a która teściowa. Nie daj Boże pomylić...

— Jak zacznieś pić, przypadkiem nie pal. Pić to jeszcze Święty Mikołaj może, ale palić... widziales Mikołaja z papierosem?

— Nie strasz dzieci różgami. Choć są i tacy rodzice, którzy bardzo tego chcą. Bojaźliwy dziadek może ci się rozplakać i już ciępi, rodzinny nastroj z głowy...

— Jak dzieciak płacze mów, że sanie czekają, musisz jechać i szybko, zamykając drzwi za sobą. Nie próbuj upokajać, bo to nie ma sensu... jeszcze nasłuchasz się od mamusi, że to przez ciebie...

— Złego słowa nie mów na ojca... teściu i dziadku. Trzymaj sztamę z mezczyznami — kielicha dostaniesz... a poza tym rzecz najważniejsza — oni będą płacić za usługi!

Na pożegnanie Mikołaj-Recydywa daje radę wszystkim: — Teraz panowie do domu... zjesz puszkę szprotkę w oleju... bez podkładu można wysiaść w robocie...

Wieczór zapowiada się mroźny. Ulice jeszcze się nie wyuldnily. Obwieszona pakunkami śpieszą do domu kobiety. Miasto ma przedwigliwną nerwicę. Niedługo zostaną zamknięte sklepy, a tu trzeba jeszcze zrobić ostatnie zakupy, znaleźć odpowiedni prezent, by każdy miał coś pod choinką. Mężczyźni nie śpieszą się. Wracają z „rybki”, albo z rybka. Przy Świerczewskiego nieźle już zmęczony gość, na oko czterdziestolatek, bezskutecznie usiłuje złapać karpia, który wyskoczył mu z siatki. Ryba, która wcześniej zdążyła poplamić brązową ortalionową kurtkę, rzuca się po śniegu. Telepie się, bije ogonem, wysiłkuje z ręki. Chwlejąc się na nogach, mężczyzna powoli schyla się i próbuje przez gazetę ułaznić karpia. Ten wymyka mu się, podryguje. Czterdziestolatek łapie równowagę i ponownie chce schwytać rybę. Skomplikowany manewr może zrobić tylko prawą ręką, gdyż w lewej trzyma siatkę z pozostałymi, tak samo niespokojnymi karpiami. Ryba znów podskoczyła i raptownie opadła, znów poderwała się, by zaraz zsunąć się z chodnika na jezdnię. Mężczyzna zebrał się w sobie, zastanowił się i powiesił siatkę na koszu do śmieci. Teraz z dwiema wolnymi rękami przystąpił do ataku. Tym razem ze skutkiem. Karp trzepocze się w gazecie, ale ręce trzymają go mocno. Do przystanku podjeżdża tramwaj. Mężczyzna prostuje się i kiedy jest już w pionie, z wyciągniętymi do przodu rękami, w których dźwierży zwycięsko karpia, sztywnym, niemal wojskowym, defiladowym krokiem idzie do tramwaju. Przyspiesza. Wchodzi do środka. Na

strzącały? Chyba nie najlepsza, choinka łatwo i często się pali. Gdy dojechali do domu spostrzegli na emantarzu drzące na wietrze płomyki świec. Na wielu grobach paliły się znicze. W ich blasku można było zauważyć kontury postaci tych, co w Wigilię nie zapomnieli o najbliższych, którzy już odeszli. Przy świecach, w stole jedno miejsce, zawsze nakryte, przyznaczone jest dla nieobecnych.

Na schodach spotkał Anulkę, córkę sąsiadki z trzeciego piętra. Szła do sklepu po pepsi-colę. Przechodząc obok niej pogladził ją po czerwonej czapeczce z grubej, wełnianej włóczki:

— Wesolych Świąt Anulko!

— Wesolych Świąt!

Znalazł się na tym gościu, uśmiechnął się do siebie drwiąco.

— Wprawiasz się do nowej roli... nawet nieźle ci to idzie...

— Pozdrów Mamę — rzucił za dzwoniącą pustymi butelkami Anulka.

— Niech pan do nas przyjdzie. Mamusia zrobiła dla pana prezent.

Domyslił się co to za prezent. Na pewno krawat. Irena była muzykiem. Grała na skrzypcach w orkiestrze i każda wolna chwila, tak jak pozostałe jej koleżanki, wykorzystywała na sztylkwowanie. Bobila dla siebie i Anulki — swejry, czapki, szale, nawet piaseczki. Kiedyś przemówił się o krawat. Było to pół roku temu. Powiedziała, że zrobi, więc może zrobić.

Otwierając drzwi jeszcze myślał o sąsiadce z góry. Zastanawiał się czy rozwódki i samotne panny z dziećmi też ustawiają na wigilijnym stole pusty talerz. A jeśli tak, to czy jest to miejsce zarezerwowane dla tego co odszedł, czy dla tego, który przyjdzie?

Z domu zadzwonił do Piotra. Wcześniej umówił się z nim, że razem pojedą jeździć po mieście samochodem. Piotr był gotowy. Mieli się spotkać za kwadrans na dole, przed domem. Przez ten kwadrans obserwował karpie, które leżały w wodzie

ZBIGNIEW WOJCIECHOWSKI

BÓG SIĘ RODZI

skrzyżowaniu zmieniają się światła. Automatycznie drzwi zamykają się. Tramwaj rusza. Na koszu do śmieci widzi samotnie zapomnianą siatkę z karpiami.

Patrząc na zamarzające w bezruchu ryby, teraz już beznamiętne, pomyślał sobie, że oto zbliża się Wigilia, chwila jedyna w roku, podczas której tradycyjnym obrzędem w godzinie powszechnego bratania, nawet ze zwierzętami dzielono się opłatkiem. Bydło dawano w jadło pokruszony opłatek, ziarno rzucano kurom i wróbi, a nawet Mróz zapraszano na Wigilię do świętego stołu. I nagle żał mu się zrobiło tych karpie, które przecież także są częścią Wielkiej Przyrody, do której on należy. Przecież — przekonywał siebie — według dawnych wierzeń cała przyroda odczuwa ten niezwykły wieczór, zwierzęta po północy mówią ludzkim głosem, więc czy mogąc zostawić te karpie na niechybną śmierć? Ja je tylko ratuję przed śmiercią, ja ich nie krądnę, nie zabiję ich, nie zjem... — mówił do siebie, zdejmując siatkę z kosza.

Teraz i jemu zaczęło się spieszyć. Bał się, by mu karpie nie usnęły. Chciał jak najszybciej znaleźć się w domu i napełnić wannę wodą. Włożył ryby do torby z piaseczem, brodą i woskami. Owinął workiem by było im ciepło. Mając swobodną jedną rękę, wymachiwał nią chcąc zatrzymać przejeżdżające taksówki. Jadąc z przeciwka „Syrena” zwiniała, zamruwała na niego prawym migaczem i zjechała do chodnika.

— Weźmie mnie pan na „lebkę”? — zapytał.

— A dokąd się pan spieszy? — odpowiedział pytaniem kierowca.

— Na emantar... zażartował, ale nie był pewien jak przyjąć ten dowcip właściciela „syrenki”. Wtedy zarzą poprawił.

— To znaczy na Tamki przy emantarzu na Dolach.

— Siadaj pan... jęde na Władę Bytomskiej, to po drodze, zabiorę pana...

Postawił obok siebie na siedzeniu torbę i przez szybę obserwował świecącą iluminację — oświetlone wystawy, choinki obwieszone elektrycznymi lampkami, sznury kolorowych żarówek. Na rogu Piotrkowskiej i Andrzeja Struga na wystawie magazynu obuwicznego zobaczył wyciętego z dyktu, uśmiechniętego świętego Mikołaja. Siedział na saniach, a z worka umieszczonego za nim wysypywały się buty. Przypomniał sobie o misji, którą go czeka.

Na Tamki było już ciemno. W remizie strażackiej, w oknie dyżurki świeciła się choinka. Przez moment pomyślał jaką też Wilię mogą mieć

niemal bez ruchu, z trudem otwierając pysk by zacerpnąć powietrza. Czekając aż ryba nabiorą siły i ochoty do życia, przeistaczał się w świętego Mikołaja. Najpierw złożył piasecz, potem brodę, a na końcu wasy i nos. Przeźwyczył przed lustrem kilka min, na przemian groźnych i dobrotliwych, odstraszać i budzących zaufanie. Te bliznady przerwał krótki klakson. Piotr już był na dole. Ryby patrzyły na niego nieruchomo, otepiałym wzrokiem. Nie reagowały na okrucy chleba, które im rzucał. Drgnęły, jakby z wysiłkiem kiedy włożył rękę do wanny i jął bełtać wodę. Przypomniał sobie właściciela karpie. Los mężczyzny go nie interesował — zresztą pewnie już z całą rodziną siedzi przy stole. Ale co się dzieje z trzecią rybą?

Pierwszym mieszkaniem, które odwiedził była willa na Julianowie. Jej właściciel — zamówił świętego Mikołaja dla swojej wnuczki Karolin, 7-letniej rozpieszczonej przez rodziców i przez pieniądze działania ołowosłej dziewczynki. Dziadek do padł go już przy furgon i szycząc scenicznym szepceniem powiedział imię dziewczynki oraz wręczył kartkę z wypisanymi na niej wszystkimi przewidzianymi wnuczki. Był to donus dzianudzia, ze szczytowym wylęczeniem wszystkich grzechów i przewinień Karolin. Z tego skrupulatnie sporządzonego aktu oskarżenia dowiedział się, że Karolina nie chce pić mleka, obraża się pod byle jakim pretekstem, jest kapryśna, mówi brydkie wyrazy, późno chodzi spać, rozmawia na lekcjach, dostała dwójki z polskiego, pobila się z koleżanką, kłamie, nie chce czytać na głos, nie słucha mamy itd... Itd. Z tej długiej listy zarzutów wynikało, że Karola jest dziewczynką złą, karną, pozabawioną zupełnie dodatnich cech charakteru.

Niech Mikołaj jej to wszystko powie. Ona pan na pewno usłucha — szeptał dziadunio ładując do worka lalki, piłkę, nakręcanego pajaca i narty.

Dziewczynka okazała się normalnym dzieckiem, nieco zaległym, zawstydonym przybyciem nieznanego, a przecież oczekiwanego Mikołaja. Gdy pierwsze wrażenie minęło, a rzekomy Mikołaj miast zmarszczyć groźnie brwi, pogladził ją po głowie i przyjaźnie przywitał, uśmiechnął się. Więc zapytał ją czy jest grzeczna, czy zasiadyła na prezenty, a usłyszawszy, że nie bardzo — wyjął z torby podarki, powiedział by słuchała rodziców i zakończył wizytę.

Dziadunio był wiele zawiedziony

Podpisując wykonanie usługi nie wyrażał i powiedział:

— Właściwie to nie powinienem panu podpisać... nie pan z tego, co uzgodniłem nie powiedział, a przecież specjalnie panu napisałem.

Wtedy Mikołaj nie wytrzymał. Spokojnie, ale dobitnie powiedział:

— A gdzie tu jest napisane, że mam za pana i pańską córkę dziecko wychowywać! Trzeba było zamówić sobie stracha na wróble.

Dziadek zaniemógł, ale chyba niewiele z tego rozumiał, bo otwierając furtkę zaczął przeproszać i życzyć Wesołych Świąt próbował wcisnąć 20-złotówkę. Mikołaj uśmiechnął się, że nie widzi wyciągniętej z plecaków ręki. Wstał do Flata i w tym momencie dosłyszał jeszcze głos urażonego dziadka.

— Pewnie, jak się Fiatem jeździ, to się dwudziestką gardzi...

Drugie mieszkanie było wysoko, na 9 piętrze — Osiedle Stefana. Nim zadzwonił do drzwi, stał przez chwilę i nastuchiwał. Przez cienie, w środku pustej drzwiczki można było dostrzec uszy i nos. Mikołaj odwrócił się, żeby zobaczyć, kto tam jest. Toważystwo jest niezłe rozbawione — pomyślał i zadzwonił.

— O, Mikołaj przyszedł! Niech no Mikołaj siada z nami i napije się jedynego bo pewno zmarzę — powitało go chóralnie, sadzając przy stole.

Podziękował za poczęstunek, pytając półgłosem komu ma wręczyć prezenty.

— Prezenty już same wręczyliśmy — zachichotała pani. Nie mogłyśmy się na Mikołaja doczekać. No Mikołaju, po maluchu i po brzuchu — zapronowała jedna z trzech pań, sięgając po butelkę.

W MIEŚCIE ŁODZI

— A tu nie ma dzieci? — zapytał.

— Są w drugim pokoju.

— To może z nimi porozmawiam. Może powie jakaś wierszyk? — próbował zmienić temat.

— Ja mogę powiedzieć Mikołajowi wierszyk — nie dawała za wygraną poezna blondynka.

— No chce Mikołaj, czy nie? — prowokowała.

— Kto by tam od ciebie nie chciał — wtrącała jej koleżanka. Kobiety wybuchnęły śmiechem.

— Wal Zocha... I Zocha zaczęła.

— Za głórami, za lasami żył przed wiekami, wielu laty król potężny i bogaty, tylko bardzo nieszczyśliwy z winy córki.

— Może ja pójdę do dzieci. Bo ja naprawdę nie mam czasu — przerwał recytację poematu Fredry, wstając od stołu.

— Święty Mikołaju — śmiała się Zocha — niech pan nie będzie taki świąteczny... — Przepaszam, ale na dole czeka w samochodzie kolega. Ja naprawdę muszę iść.

— To dawał tu tego kolegi i to przedko — zapisała do tej pory mało mówiąca trzecia z kobiet.

— Coś ty taka predka... — znów pani perliście się zaśmiały.

— Czy może pani potwierdzić, że tu byłam — Mikołaj wyjął „zlecenie usługi” i podał do podpisu.

Zocha wzięła do ręki papier i znów wybuchnęła śmiechem.

— No jak ja mam panu podpisać wykonanie usługi, kiedy pan jej nie wykonał!

— Niech pani nie żartuje... proszę podpisać, bo ja naprawdę idę.

— Za darmo to u nas w „delikatessach” nie ma — mówi Zocha i zamasykuje gryzmoli swój podpis.

— Ale wróci pan jeszcze?

— Do „Delikatessów” — rzuciła na pożegnanie.

— Jeśli, to na zaplecze — odpowiada Zocha, która jego odzwykę potraktowała serio.

Ładnie się panienki bawia — pomyślał. Stół niezłe zastawiony. Niczego nie brakuje — tylko chłopów. W samochodzie opisuje Piotrowi przebieg wizyty.

— A dzieci? — pyta Piotr. Jak wyglądają dzieci? — Nie wiem, nie widziałem. Były w drugim pokoju — odpowiada i posępnie obwodzi miecza. Samochód ledwie zjeżdża. Przy skrzyżowaniu czeka na zmianę światła. Z prawej strony podjeżdża tak-

sówka. Kierowca zauważył śledzącego w Fiacie Mikołaja. Uśmiecha się, kiwa mu przyjaźnie ręką. Pasażerowie także podtrzymują Mikołaja. Taksówkarz odkrywa szybę i pokrząkuje.

— No co... to obaj dziś pracujemy... powodzenia! Wesołych Świąt! — Wesołych i spokojnych — odpowiada.

Jest już zielone światło. Jadą już w lepszym nastroju. W perspektywie ulicy pomnik Kościuszki na placu Wolności podświetlony kolorowym światłem choinkowych lamp. Przed parkiem „Śledzia”, obok Starego Rynku skracają w prawo w Lutnia. W jednym z pierwszych nowo wybudowanych po wojnie bloków wizyta trwała najkrócej. Dzwonek. Otworzył rozcheistany, ponury mężczyzna. Przez ledwie uchylone drzwi wzbudzonym głosem powiedział krótko:

— Prezentów nie będziemy dawać. Dziękuję i przepaszam...

— Ale pan zamówił wizytę — przypomnieli Mikołaj wyjmując zlecenie.

— Podpiszę panu... i koniec. Sytuacja się zmienia. Wie pan, jak to jest z kobietami.

— Rozumiem.

Gdy mężczyzna podpisem potwierdził przybycie Mikołaja, ten przez uchylone drzwi zauważył w pokoju siedzącą przy stole kobietę. Łzy, które rozmyły czarny tusz, spływając po policzkach znaczyły ślad swojej drogi. Mając papier w ręku, dyskretnie wycofał się w głąb korytarza i zamiał tradycyjnego „Wesołych Świąt”, powiedział tylko:

— Przepaszam... nie przeszkadzam.

Na Łagiewnickiej zaczęło się niepomyślnie. Winda była nieczynna. Jak się później okazało od tygodnia. Blok niedawno oddany, dźwig nie wytrzymał natężenia świątecznych przepro-

kiej osoby ani takiego mieszkania. Pokój ubogi, ale schludny, zadbane. Łóżko przykryte kapą, serwetki robione szydełkiem, na ścianach stare zdjęcia, w złoczonej ramce św. Teresa, lustro. W kącie za zasłonką miednicą wiadro i dzbanek z wodą. Na stole, przetarty już obrus a na nim gałązka zielonego świerku z płonącą świeczką. Obok talerzyk z opłatkiem.

Staruszka stoi zdumiona. Urzeczona jak małe dziecko patrzy na Mikołaja

— „Mi... Mi... Mikołaj? Do mnie? Boże. Jak ja dawno nie widziałam Mikołaja... A to ci niespodzianka! Proszę niech pan wejdzie!”

Staruszka uśmiecha się zyczliwie. Zaprasza do środka. Na łagodnej, z pęjącej smarszkiej twarzy — uśmiech. Radosny, szczery.

— Ale mi Mikołaj sprawił niespodziankę! To z klubu rencisty, czy z parafii przyjechał? Zrozumiał, że pomylił drzwi, ale nie mógł się wycofać. Nie mógł także zapytać gdzie mieszkała państwo Resztoni. Jest mieszkanie numer 17, Staruszka mogła by się zorientować. Zdobył się tylko na dwa zdania.

— Przyszedłem sprawdzić czy pani jest w domu. Zaraz wrócę.

— A gdzie ja mogłabym być... — eicho powiedziała do siebie. I zaraz z niepokojem dodała:

— To ja nastawię herbatę. Napije się pan szklankę...

Sklonił się, odpowiadał na ponowne pytanie „Czy na pewno przyjdzie?” — „Na pewno” i już wiedział, że musi tu wrócić.

Zanim poszedł do Resztoniów zszedł na dół do Piotra i poprosił go by pojechał do niego do domu.

— Będę czekał na dole.

U Resztoniów było gwarno. Plastykowa mała choinka podłączona do prądu stała na telewizorze, który jarał się srebrzystym zimowym światłem. Programu nikt nie oglądał bo starsi przy stole pili wódkę, dzieci zaś bawili się w kącie. Dzieci były siedmiorgo. Część sąsiadów, a część gospodarzy.

— Witaj Mikołaju... prosimy na razie do kuchni. A dzieci przez ten czas grzecznie się ustawiają w rzędzie. My tu jesteśmy razem z sąsiadami, to pan od razu wręczy prezenty mojej czwórce i dzieciom sąsiada. Zgoda?

— Zgoda.

— No to kielicha na rozgrzewkę, a ja włożę do worka prezenty.

Wręczanie podarków szło mu nawet sprawnie. Dzieci odpowiadały na pytania, opowiadały o szkole, jak pomagają rodzicom. Zadowolony był z tej wizyty. Tak właśnie wyobrażał swoją rolę. Zagadywał dziewczętą o nowe piosenki, wierszyki... Chłopców pytał o sport, o Widzew i ŁKS. Dawał im zagadki. Był rezolutny, odpowiadał chętnie.

W telewizji występował chłopięcy chór Stuligroza. Śpiewał koledzy. Poprosił więc by dzieciaki śpiewały razem z chórem. Tak był zaangażowany w dzieci. Że zapomniał o starszym o Resztoniach i ich sąsiadach. Dopiero gwałtownie położona na ramieniu ręka, która nagle przerwała nastroj, odciągał go od dzieci, i podpiły głos Resztonia:

— Skończył Mikołaju z tymi pierdolanami... masz tu kielicha... — przywrócił mu świadomość, gdzie się znajduje.

— Chwileczkę, niech skończą koleję — zaprotestował.

— Dzieci nuciły „Bóg się rodzi”. I wtedy do chóru dziecięcych głosów dołączył się zachrypnięty, podpiły baryton sąsiada:

Bóg się rodzi, w mieście Łodzi do Pabianic, nie przychodź do Pabianic, wozem jedzie wiezie wódkę oraz śledzie. A gdy się utrudzi szwinię to wypije z nami żytnia. Tyś jest z Łodzi, ja z Pabianic Wypij Boże wódkę z nami!

— No Mikołaju, co? To jest koleją! — rechał Reszton.

— Wesołych Świąt!

— Wesołych.

Piotr już czekał przed domem. Wręczył mu paczkę, którą przywiózł z domu i powiedział że wróci za godzinę. Mikołaj siedział po sfatygowanych schodach na górę. Drewniana podłoga w korytarzu trzeszczała. Zza drzwi Resztonia słychać było nową zwrotkę „Bóg się rodzi w Łodzi mieście, święty żyłobek ma w areszcie” Bawiono się na całego.

Staruszka już czekała u drzwi. Była szczęśliwa. Dreptała rażno wokół stołu, krzątała się by jak najlepiej przyjąć swego gościa.

— A to ci niespodzianka — powtarzała z niedowierzaniem.

— Mój Boże, nigdy bym się nie spodziewała, że będę miała taką Wigilię!

— Ja też — powiedział wręczając jej świąteczny prezent. Zawinięte w gazetę dwa, dopiero co wyciągnięte z wanny karpie.

Z WŁÓDKA RODEM

Dalszy ciąg ze str. 4

pełna prawda, com ja tam w sobie wiedział o żeniactwie, do czegoś takiego trzeba dojrzeć przy panie...

Z tą panną nic nie wyszło. Otóż nie przyznała mi się, że inny konkurent cholewki do niej small, a byłby taki zwykłym tchórzem, gdyby pozwolił drugiemu po te same wdzięki sięgać. Co do mnie — honorowy byłem — wcale bym do czyjejś panny nie uderzał, choćby ładna i jedyna była jak to o której mówię. Ale szelma chciała dwóch naraz wypróbować, żeby lepiej wiedzieć którego poprowadzić do ołtarza.

Siedzę ci więc w wysprzątanej pokoju u niej, trochę już mi się język rozwiązał, zagaduję coś o jej piękności — i nie wiem, że w tym samym czasie ciężkie lundy mi się szykują. W pewnej chwili panna wyszła, z czego szybko skorzystałem i wyszedłem za stołową: zebrało mi się, a wstydziłem się w jej obecności wyjść. Kiedy wracałem, złapał mnie za rękę młodszy brat panny, dziecko jeszcze, i z przejętą miną, prawie szepem powiedział mi, że zaraz tu będzie kawaler jego siostry z koleżkami, żeby mi dobić za umiarganie się do dziewczuchy. Dałem chłopakowi parę cukierków kupionych specjalnie na tę randkę, zawróciłem za stołową, owinąłem kamień wielkości gęsięgo jaja w czystą jeszcze, kraćszą chusteczkę i ukryłem w kieszeni. Po czym jak nigdy nie wróciłem do mieszkania i dalej gadam z panną. Dzisiaj się dziwię, że miałem takie spokojne nerwy — widząc jak człowiek młody, to ma większą pewność siebie.

Nie minęło pół godziny, a tu drzwi się otwierają, a w nich trzech drabów, z których pierwszy — ten niby narzeczony — przekracza próg i z czymś ciężkim w łapie idzie do mnie, a dwóch pozostałych tarasuje wejście. Nie czekałem, trzepnięciem zranionego w miłości mężczyzny pięścią uzbrojony w przyściągę „chusteczkę”, potem drugiego w drzwiach i po upadającym przysięgam na zewnątrz. Jeden nie tknięty nie odważył się mnie gonić. Nie muszę mówić, że moja noga więcej w tej wsi nie została.

Takie czy nie takie wspominki kawalerskie mógłbym godzinami opowiadać, ale wiadomo, że co najwyżej podróski by tego słuchał, kaźden zaś ze starszych swój kawalerski życiorys ma!

Moja kawalerka skończyła się we wrześniu 1932 roku po paru miesiącach chodzenia do pięknej i dobrej jak anioł Bronki, która podobnie jak ja, była najstarsza wśród kilkanaścioro rodzeństwa gnieźdzącego się z rodzicami w wielkiej wrocławskiej chałupie o dwóch izbach, we wsi oddalonej od Piasków o pięć kilometrów.

III

Ożenek, dobra kobieta, dorosłość, ale nie — samodzielność. Kilkanaście gęb do jedzenia, pracy wprawdzie nie brakowało, zresztą robota zawsze mnie kochała, gorzej było z zapłatą, tylko za jedzenie się robiło. Teściowie mieli sporo ziemi, nie takiej jednak jak ojcowizna w Piaskach; tu nazwa inna, lecz grunty najbardziej w piaski bogate.

Toteż kiedy w 15 miesięcy po ślubie urodził się syn, a w półtora roku po nim drugi, oboje doszliśmy do wniosku, że dłużej się na wsi męczyć nie sposób. Z czymś jednak trzeba było wyjść, gotę ręce nie wiem jak pracować, nie gwarantują jeszcze osiedlenia się w mieście. Mając ciągle w duchu tę bzdurną nadzieję, że po latach wrócę na ojwowskie morgi, zacząłem się zopominać u teściów wyplacenia się córce, to jest mojej Bronce. Po paru awanturach, a najbardziej dlatego, że nie było gdzie pomieścić takiej kupy ludzi, w tym dwóch moich szkrabów, których Bronka mimo braku podstawowych warunków i istniejących zwyczajów nie chciała chować po staremu otaczała ich nadzwyczajną troskliwością, drżała przy każdym przejawie choroby, ubierała w czyste białe koszulki i krótkie akksamitne spodnie, nawet włosów im nie dawała ścinać na pałę, tylko przyszywała te pszenicznolote kieliczki jak dziewczynkom. I była cierpliwa, nie do wiary jaka cierpliwa, nie wyjącając takich trudnych dla niej chwil, kiedy mnie jeszcze zagnęło na wiejskie zabawy na wypitkę z kolegami, podczas gdy ona, popląkując chrząliła obu berbeciów jak bezbronne pisklaki; i kiedy wysłuchiwała z przerażeniem mojego głosem awanturowania się po powrocie nad ranem, aż się po wsi rozlegało. Tylko bić jej nie umiałem, jak to Marcin czynił od czasu do czasu z moją matką i usprawiedliwiał się głośno wobec innych, że „jak chłop kobiety nie bije, to jej wtrąba gnije”. Bronka tak mnie przewyższała dobrocią, że aż się gryzłem po każdym hulakim wyskoku, ale ręki na nią nie umiałem podnieść; więc po tym, com rzekł, zostaliśmy — nie na długo zresztą — lodzianami.

Ustykaliśmy do kupy dwa tysiące złotych, głównie z tego, co dali Bronce starzy za krowę i kawałek schedy, którą miała po latach odziedziczyć i za tę ogromną jak na nasze warunki sumę odkupiłem na Bałutach... dozorstwo, to jest jednozobowe mieszkanie w suterenie oraz pracę dozorcę z 18-złotową „gażą”. Nikt kto nie „siedział” w tamtych czasach (a był to rok 1938), nie jest w stanie zrozumieć, na cośmy się skazali. Nie na to, że byśmy mi ubliżala robota, ale jego niechęć do pracy. Nasze nowe życie zyskało tylko jedną wygraną — samodzielność. Jednak pożałuj Boże — w jakich warunkach... Serce się krajało patrzeć na Bronkę i chłopaków w tej piwnicy, gdzie latem ciekło po ścianach, gdzie Bronka zapalonymi starymi gazetami ze śmietnika ploszyła piaski i karaluchy, gdzie zimą dzieciaki skrobały lód ze ścian. Zająęcie moje, tak lekkie wobec dotychczasowej pracy na wsi wykonywałem solidnie, groza więcej jednak za to nie przybyło. Nerwy mnie zerały coraz bardziej, uciekałem z domu, żeby nie wywoływać z żoną kłótni, której przyczyn przeciętnie i skrobałem ołówkiem cyferki — liczyłem moje godne grosze, ludząc się że ta biedacka buchalteria poprawi życiowe warunki rodziny.

Nie poprawiała, nie mogła poprawić. Nie byłem zaradny, za to bezgranicznie uczciwy, nie umiałem też przylżyć się do tych, którzy się organizowali przeciwko sprawcom takiego życia. Nie odziedziczyłem nic z buntowniczości Marcina. A przecież stykałem się z tymi, których się wtedy z bojaźliwej nieswiadomości nazywano „czerwonymi” lub „bolszewikami”. To jest z robotnikami, którzy na ten cholerny wyzysk znajdowali odpowiedź: walkę. Miałem też wśród nich znajomyków, którzy dużo wcześniej wynieśli się spod Sieradza do Łodzi.

W 1939 wywoziłem chłopaków do teściów na lato, żeby pasieniem krów i pomocą przy żniwach zarobili na swoje jedzenie i żeby się przez ten czas oderwali od zgłiznitych bałuckiego podwórka, tudzież suterenu. Groźba wojny, stała się rzeczywistością. Nie odbywałem służby wojskowej, więc mnie nie zmobilizowano, zabrano tylko na kilka dni do kopania rowów strzeleckich za Łodzią. Uciekłem stamtąd, kiedy pierwsze bomby spadły na Łódź, gdzie została Bronka. Odnalazłem ją nie w suterenie, lecz na wsi, dokąd przetrwała się po bombardowaniu, którego była bezpośrednim świadkiem, szczęśliwy w tym nieszcześciu, że ocalała. Straszne katusze wtedy przeżyłem, zanim ją zobaczyłem na wsi. Takie same chyba, jak niedawno temu, kiedy łódzcy lekarze dwukrotnie brali ją na stół operacyjny i kiedy nie rozumem nie wskazywało na to, że stamtąd wróci żywa. Synowa Barbara, której przypało Bronkę ze szpitala przywieźć, nie mogła się nadszwić, z jaką radością kustykałem (starość najbardziej) pcha się w moje nogi) do taksówki, żeby ją, tę moją całe życie Dobrą, teraz wyglądającą jak nie z tego świata, ale żywą — zwała! — wprowadzić znów do domu...

W obu tych momentach — na początku wojny i teraz, w czasie szpitalnych miesięcy — przeklinałem siebie po tysiącach, żem sobie na taką żonę nie zasłużył, że jej tyle bólu sprawiłem, choć przecie wszystkie siły (szkoda, że nie rozumnie) oddałem dla swojej rodziny, dla wychowania czworga dzieci, czworga — jako że w czasie okupacji przyszły na świat jeszcze dwie córki. I one, jak synowie, urodziły się na wsi, bo okupant nie pozwolił już mieszkać w Łodzi; ta część Bałut została zamieniona na getto, 9 rodzin Polaków mieszkających w naszej kamienicy Niemcy przegnali z miasta.

Nie było się gdzie zahaczyć, trzeba było wrócić na wies. Jeden z bauerów dał nam kąć za cenę pracy u niego. Wtedy po raz pierwszy coś się we mnie zbuntowało, nie przyjąłem tej pracy, co spowodowało kilkakrotne przesiedlanie mnie z rodziną do różnych chałup w podszadkowskich wioskach Skromne graty czyli meble stawały się naprawdę gratami z powodu tych przeprowadzek, a i tak nam nie dosłużyły do końca, gdyż w 1944 roku okupanci wywieźli nas do Francji. Kiedy wróciliśmy, śladu po tym chudym dobytku nie było.

Dalszy ciąg na str. 6



Roman Kłosowski

Foto: W. Parys

RYSZARD III ROMANA KŁOSOWSKIEGO

Scenografia do inscenizacji „Ryszarda III” w Teatrze Powszechnym została zaprojektowana przez Antoniego Tośbę. Przedstawia dziedziniec zamku-więzienia londyńskiego — Tower. Więźnia, do którego byli wtroczeni i w którym ginęli kolejni pretendent do korony angielskiej lub ich przeciwnicy.

Spuszczana z łoskotem na łańcuchach brama więzienna otwiera się, by wchłonąć kolejne ofiary. Dziedziniec przed ową bramą okoloną jest dwiema galeriami. Na przestrzeni, wyznaczanej przez dolną z nich, toczy się właściwa akcja dramatu. Tutaj miotają się ludzkie marionetki, aktorzy teatru dziejów, decydujący o losach Anglii — świata. Na górnej pojawiają się jedynie ubrani w obcisłe kostiumy z czarnej skóry — Mordercy (Władysław Guzik, Leszek Benke, Mieczysław Antoni Gajda). Wydają się kontrolować świat dziejący się pod ich stopami. Zstępują ze swoich stanowisk jedynie po to, by precyzyjnymi ruchami wykonać rozkaz, eliminujący ze sceny świata kolejnych aktorów. Obojętna jest dla nich sprawa, kto rozkaz wydaje i kogo mają uśmiercić. Dla nich historia stoi w miejscu, nie zmienia się — choć oni stają się jej motorem, są jej głównymi egzekutorami. Przerazająca (i porażająca) widać ślepych mechanizmów ludzkich, decydujących o losach świata, a zarazem wobec niego obojętnych, stanowi główną wykładnię wystawienia „Ryszarda III” w reżyserii Jerzego Hoffmanna.

Na takim tle kreuje rolę Ryszarda Roman Kłosowski. W siedemnaste lat po genialnej interpretacji tej postaci przez Jacka Woszczerowicza w Teatrze Ateneum decyzyjną podjęciem się wykonania tej roli związana jest zawsze z pewnym ryzykiem. Jeśli prawda jest opinią recenzenta ówczesnego, że Ryszard III Woszczerowicza wchodzi do historii teatru, ponieważ jest to „Szekspeare polowy XX wieku, Szekspeare wreszcie współczesny” — to należy się zastanowić, czy od tego czasu świat się na tyle zmienił, że można ująć postać bohatera

szekspeare'owskiego w sposób, który by bardziej trafił do dzisiejszego stanu świadomości o mechanizmach rządzących historią polityczną. A może Woszczerowicz genialną swoją intuicją aktorską odczytał to wszystko, co jest istotne jeszcze i dzisiaj? A może zapytać inaczej: czy do czasu, w którym nie zmienia się układy sił i ludzie je reprezentujący, możliwa jest interpretacja postaci Ryszarda, która nie byłaby zubożeniem interpretacji wielkiego Woszczerza? Zaczynamy dwa fragmenty opisów tej roli dokonane przez ówczesnych świadków.

„Woszczerowicz pokazywał mechanizm historii poprzez pokazanie mechanizmu zbrodni, wylęgającej się w jednym człowieku o demonicznej sile charakteru, przenikliwości i mądrości. Grał pokręconego karla; wiedział wszystko i poświęcił wszystko dla blasku tronu, którym w istocie — pogardzał. Świadomie rozbijał legendę wielkości, pokazując, jak bardzo historia zależy czasem od przenikliwości, bezwzględności i uporu jednego człowieka, opanowanego przez demona władzy (...). Grał sam mechanizm zbrodni poruszającej historię, niepożądaną była mu więc wielkość, ani fascynacja, ani nawet osobisty urok — tak sugestywnie podkreślał przez Laurence'a Oliviera. (...) Grał nie potentata, nie posagowanego władcę, ale błazna Szydzil i czołgał się, zakłaniał i kusił z przewrotnością i zrezygnacją kłowna, wiedząc, że nie tu nie jest na serio, a przecież to właśnie jest życie.”

„Inny opis: „Woszczerowicz buduje rolę Ryszarda wszystkimi środkami aktora komediowego. Jego Ryszard się zgrywa, pada na kolana, malpuje litos i gniew, i dobrodusność, wściekłość i żądze, nawet okrucieństwo. Jego Ryszard jest ponad wszelkimi sytuacjami, nie uosamia się z nimi, on je tylko gra. On nie jest, on tylko udaje. Woszczerowicz jest wielkim aktorem, ale jeszcze większym aktorem jest jego Ryszard. (...) Podobnie mówi się o wielkich aktorach historii. Oni ją grają i rozgrywają. Nie wstydzą się błazństwa. Oni się w ogóle nie wstydzą. Tak jak aktor nie wstydzi się żadnej z ról, które ma odegrać. Bo on ją tylko odgrywa. On jest ponad rolę. Jeżeli jest reżyserem, wybiera rolę i narzuca sytuację. Wtedy wszystko jest dla niego teatrem. „Roz-

gra!” wszystkich. Kiedy zostaje sam na pustej ziemi, może się śmiać. Może nawet samego siebie uznać za błazna. Za nad-błazna. (...) Najstraszliwszy jest tyran, który sam siebie uznaje za błazna. I cały świat za wielką błazenadę. Ze wszystkich odtwórców Ryszarda pierwszy Woszczerowicz tak odczytał Szeksplira. Myślę, że odczytał genialnie. Od błazenady zaczyna rolę i błazenada jest jej materia. Wszystkie gesty są błazeńskie. Gesty lisie i gesty okrutne, gesty miłosne i gesty władcze. Ale błazenada to są nie tylko gesty. Błazenada jest filozofia. Błazenada jest najwyższą formą pogardy. Pogardy absolutnej.”

Roman Kłosowski nie gra błazna. Nie wykorzystuje naturalnych mu „wszystkich środków aktora komediowego” dla zapanowania nad błazństwem świata. Nie czyni z błazństwa filozofii ani najwyższej formy pogardy. Gra serio. Gra wielkie serio, którego stawką jest władza. Stawia na to, że stawka, o którą walczy, że gra, którą toczy, może być poczytana za błazństwo jedynie przez tych, którzy są na zewnątrz i przez tych, którzy są wewnątrz. Ale ci się nie liczą, skoro nie biorą udziału w rozgrywce. Nie są partnerami, dopóki nie stanowią bezmiernym tłum obserwatorów nie angażujących się w walkę. Zwycięstwo w tej walce daje panowanie nad tymi, którzy ograniczają się jedynie do roli widzów w teatrze, gdzie rozstrzygają się ich losy. Gdyby chcieli się włączyć w rozgrywkę, czekają na nich mordercy na wyższej galerii podwórza. Lub zamknięcie się za nimi z łoskotem brama więzienia. Publiczność nie może przestać być widownią i nie ma prawa decydowania o losach teatru świata, nie stając się jego aktorem. Aktorstwo bowiem jest uczestnictwem, które pociąga za sobą konsekwencje bardziej uciążliwe niż te, jakie ponoszą widzowie przyglądający się walce toczącej o władzę nad nimi, nad bezwinnym tłumem z widowni.

Kłosowski w roli Ryszarda gardzi takim tłumem. Nie jest pewny swojej wygranej jedynie wobec tych, którzy, podobnie jak on sam, mogliby być zdołni do wydawania rozkazów czarnym postaciom stojącym na wyższej galerii. Bo sił jedynie tych, którzy stali się aktorami w tej samej grze, w jakiej on uczestniczy. Inni się nie liczą. Dla nich nie sili się nawet o to, by jego słowa i działania były zrozumiałe. Nie tworzy postaci, której określone cechy charakteru wyznaczałyby jej postępowanie. Swoje postępowanie zmienia w zależności od sytuacji, od rozkładu figur na szachownicy. Jeśli świat jest mechanizmem, którym można manipulować, trzeba samemu stać się trybem tego mechanizmu. Ale tym najważniejszym, bo inne się nie liczą. Tym, który decyduje o poruszeniach innych trybów, które w miarę ich niefunkcjonalności należy eliminować. Najstraszliwszy jest tyran, który świat widzi jako wielki mechanizm, a siebie samego jako cząstkę tego mechanizmu. Trzeba zrozumieć działanie maszyny, by włączyć się w jej bieg z tymi, którzy go nie rozumieją, nie należy się liczyć. Zdołni są tylko do oklasków.

Widownia oklaskuje Kłosowskiego w roli Ryszarda.

SLAWOMIR ŚWIONTEK

OSTATNIE DZIEŁO VISCONTIEGO

W dniu, w którym na Konfrontacjach w 1976 roku oglądano film „Portret rodzinny we wnętrzu” dotarła wiadomość, że Luchino Visconti nie żyje. Wspomniał mi miano testamentu wielkiego artysty. Choć cechy te można przypisać wszystkim filmom Viscontiego, świat „Portretu rodzinnego” jest w sposób najbardziej wyrazisty światem jego autora. Rysunek szczególny bowiem tego filmu jest niezwykle osobisty — charakter wypowiedzi, szerokość, która nie jest tylko programem artystycznym, lecz autentycznym, czesto szkolącym wyznaniem. Przejęty jako dzieło wiążące twórczość Viscontiego „Portret rodzinny we wnętrzu” zawiera wszystkie główne jego motywy, a jego bohater jest przy tym niejako porteparole autora.

„Portret rodzinny” nie był jednakże ostatnim filmem wielkiego mistrza stylu. Już po śmierci Luchina Viscontiego prezentowano w Cannes jego naprawdę ostatni już film — „NIEWINNY”. Przyjęto go z należytym wielkim szlache autora szacunkiem, lecz nie ukrywano rozczarowania. Po arcyciekawie zrealizowanym dziele drugiego oddechu. W głosach krytyki pobrzmiewa jakis okrutny w swym charakterze żal, że to nie to, co najwspanialsze zamknęło twórczość tego artysty. Jeśli wolno, akurat w kontekście tej twórczości, pozwolić sobie na bardzo osobiste wyznanie, to należy jedynie podziękować losowi, że przy całym swym okrucieństwie, pozwolił na to, by ten film jeszcze nowelą. Choć na przekór publicznej naserceniści nie jest jeszcze jednym z arcydzieł. Film „Niewinny” pozostaje bowiem niezwykłym dopełnieniem dzieła testamentu, jakim był „Portret rodzinny we wnętrzu”.

W „Portrecie rodzinnym” dokonał Vis-

conti najprzenikliwszej, ze wszystkich dotąd podejmowanych analiz świata, który ukochał oraz tego, którego się bał. Najpełniej też wyraził świadomość nieuniknionej przemiany społecznych, kulturowych i obyczajowych w świecie tym zachodzących. Ujawnił chorobę wieku, dekadencję, rozumiana jako przejaw kryzysu odchodzącej w przeszłość epoki społecznej i kulturowej. Był to zresztą stały motyw twórczości autora filmowego „Lamparta”. Tym razem mówił o sobie i swych współczesnych.

W „Niewinnych” powrócił do tego tematu po raz ostatni. Dlatego sygnał do zapomnianej powieści Gabriela D'Annunzia, trudno oczywiście odpowiedzieć. Przepuszczając jedynie można, że znalazł w niej i jej historyczno-obyczajowym kontekście dane do swego kolejnego, bardzo osobistego obrachunku ze światem, który kochał i którego nienawidził. Mitosa historia arystokratycznych bohaterów umościła mu jeszcze raz powrót do naczelnego tematu jego twórczości. W tej sferze nie odpowiedział Visconti w „Niewinnych” już nie więcej ponad to, co od niego można w jego poprzednich dziełach, a głównie w „Portrecie”. Wybór tej powieści był chyba jednak przede wszystkim pretekstem do ostatniego już stylizowanego popisu. To epoka, w której teatrzali się akcja bzdurna, w świetle dzisiejszych gustów, powieści D'Annunzia, sprawie wyboru, mniemac należy przesądzić. A może właśnie fakt mierzoty literackiego tekstu uwielbianego angielskiemu artysty miał być kolejnym argumentem w owym stałym dyskursie Viscontiego o przemianach wartości tworzonych przez następujące po sobie pokolenia.

Dla wielu, jak sadzę, film „Niewinny” pozostanie dowodem wielkości artysty, który w dziełach kina zachowa miejsce

jednego z największych stylistów. Wszystkie literackie, muzyczne i plastyczne inspiracje służyły w twórczości Viscontiego tworzeniu stylu i ekspresji możliwej w kinie i tylko w kinie. W fin-de-siècle'owej opowieści fabuły D'Annunzia odnalazł Visconti ostatnią swą szansę spoglądania filmowej wizji tego, co chyba najbardziej zawsze fascynowało — zmysłowości świata. Cechy te ujawniał nie tylko w ludzkich działaniach, odnajdywał ją w przyrodzie i w tym wszystkim, co człowiek stworzył — w owych „wnętrzach”, które symbolicznie do tytułu swego przedostatniego filmu wprowadził. W „Portrecie rodzinnym” bohaterami byli ludzie we „wnętrzech”, w „Niewinnych” bohaterami stały się owe „wnętrza”, scenaria, którą ludzie dla życia swego tworzyli, ale która ich także okazywała.

Związek człowieka z naturą jest stałym motywem sztuki. Visconti — filmowiec w swym ostatnim filmie szczerze, ale i nie po raz pierwszy, dokonał analizy związków i zależności pomiędzy człowiekiem a wytworami jego działalności. Jest to motyw, który sztuka XX wieku rozwija głównie w aspekcie cywilizacji technicznej. Luchino Viscontiego fascynował układ, w którym prymat wiódł nie technika, lecz sztuka. To, że wybrał i ukochał sztukę czasu przemłowy wieku, czyli na jakimś zakresie historii, sztuki z całym jej wynaturzeniem, ale i pięknem — jest tu dla twórczości tego artysty symboliczne.

EWA NURCZYŃSKA

Z KŁOCKA RODEM

Dalszy ciąg ze str. 6

pistolet do zaszlamionego stawu. Poszukiwania dokonane na ich oczach nie dały skutku.

Dalsza moja historia to osobny rozdział, który się zaczął od przeszkadzania nam w powrocie do kraju. Czym to nas wtedy nie kusili... domem z ogródkiem na własność, dobrze płatną robotą, odszkodowaniami... albo straszliki w Polsce nowy wróg — bolszewik, kolchozcy, wspólne żony... Nie tylko kusili czy straszili — nie dawali pozwolenia na odjazd, kiedy wojna się na dobre skończyła. Trzymali nas w obozach zbornych, żyłli za darmo — nigdy w życiu żem się tak nie wyniósł w to gorące lato w południowo-francuskiej dolinie nad rzeką.

W listopadzie 1945 roku, wprowadzie bez konkretnego miejsca, gdzie można by się osiedlić, z paroma papierkami franków na pamiętkę, wróciliśmy do Polski — starsi zaledwie o dwa lata, ale w duszy bogatsi o cały wiek.

Nigdy już nie wróciłem do swego pierwszego zawodu (jaki to był zawód, jak tylko harówka go uczyła...), widocznie nie on był moim powołaniem; a Bronka słuchać nie chciała o woli. „Teraz są czasy robotnika — mówią — chyba że ktoś najlepiej się na roli czuje. A dzieciaki muszą się uczyć, w nowej Polsce człowiek musi być mądry, a nie cep — żeby go co chwila lada wróg nie chciał zreżnąć!”

Tak zostałem robotnikiem. Na dobre. Na całe trzydzieści lat, aż do emerytury, najpierw budując czy naprawiając tory kolejowe na trasie Łódź — Sieradz, a wkrótce potem, od 1947 roku, pracując w fabryce wyrobów metalowych w Pabianicach, dokąd oodziennie na trzy i na dwie zmiany dojeżdżałem.

Mówiłem już, że ten czas także był trudny. Nieraz chciałem chłopaków popędzić na zarobek, bo już podrosli, a mnie samemu trudno było zeszść osób utrzymać. Znosili cierpliwie moje gderania, a zdarzało się i poszurchaniwa, ale słuchali matki, to znaczy siedzieli w kłódkach. Rozumiałem, że to się im w życiu przyda, więc godziłem się na tę „wieczną” szkołę, nie mogłem ich nie ciągnąć ani do kieliszka, do dziewczuch owsem ale normalnie, za to harcerstwo było im w głowie, a już najwięcej — sport. Mówią po cichu, do dzisiaj nie rozumieją, jak można tyle czasu tracić na te psie zbyry. Jasne, że się do tego przyzwyczaiłem, ale oni już wtedy z tego wyrosli, więc jak u wnuczków widzę takie zabawy, już im nie przeszkadzam.

Bledny Marcin, mój ojciec... Wywieźli go z całą rodziną do Protektoratu, gdzieś pod Stary Sacz, wrócili po wojnie na swoje w Piaskach. Spotkali się po tym okupacyjnym niewidzeniu u teściów, dokąd znowu po powrocie z Francji trafiliśmy. Złapał mi się oba jak do barowania, ja zapakałem głośno aż się moje dzieciaki wylekły, bo nigdy nie widziały mnie w płaczu, on kłak cicho przez sumiaste wąsy w moje ramie. Do diabła, co się rozczulał — mało to było w tych czasach takich pożegnań i powitań? Chociaż nie — powitań o wiele mniej... A Marcin umarł w 1946 roku z niemocy nóg, co i mnie teraz nęka. Przeżył 88 lat i legł na zawsze na szadkowskim cmentarzu, gdzie w dwa lata potem Bronka opłakała swego młodzickiego brata, którego banda zabiła za nową Polskę. Umarła i matka moja. Wojna, a właściwie tylko czas wojny wykruszył mi jeszcze brata. Józek mu było. Zagrożony przez Niemców jakąś karą życie sobie odebrał. Dzielne to było chłopisko, od małego milcząco i zamknięte w sobie, siłę w muskułach miał straszliwą, ale w głowie jakieś lepsze myśli się nie legły. Kto tam zresztą wie, przeleż się z niczego i nikomu nie spowiadał. Tak i z tą śmiercią — jej przyczynę zabrał do grobu.

Kto słucha mojej opowieści może pomyśleć, że rozprawiam o tym, co dawno minęło, a nie pokazuję swojej roboty w fabryce, swoich osiągnięć w życiu powojennym, no i w ogóle tego, co się zmieniło. Trochę w tym racji, ale nie całkiem. Niech wam madrzejsi ode mnie i sławni powiedzą czy nie jest tak, że gdzieś tam po latach najchętniej się wspomina to, co już dalekie od nas. I to wcale nie jest złe; świat się zmienia, ludzie, wszystko, a człowiek raz tylko żyje i co przeżył — razem z nim odepjdzie; to i każdy chce to przedłużyć choćby w takim opowiadaniu i ma nadzieję, że to się innym przyda.

Druga rzecz: fabryka. Byłoby co opowiadać, wcale się od tego nie uchylam, ale przecie zapisać tego nie potrafię. Niech się znajdzie który, co piórzem włada jak ja kiedyś władał, młotem pneumatycznym czy agregatem do lutowania specjalnych noży tokarskich i niech opisz, jak to w fabryce było. Tylko niech nie wylizca cyferek i procentów, ale niech pokaże człowieka, robotnika, majstra czy inżyniera — jak oni żyli i pracowali, co ich gnębiło, dzieliło lub łączyło, jakie pisane, a przede wszystkim niepisane zwyczaje rządziły ich każdym dniem. Niech pokaże jak ludzie szybko zapomnieli o tym, że im bieda co dzień karkę lizała, wróg życie niszczył, a dzisiaj często im się pracować nie chce i jeszcze się gryzą jak ta sfora psów. I niech napisze jak człowiek cierpi, jak czuje, jak zwalcza strach albo mu się poddaje — inny strach niż dawniejszy. Inne cierpienie nie z tym wiąże, ale czy przez to mniej dokuczające? Jeśli zaś będzie pisał o tym, co poszło na lepsze, niech nie zasłania ludzi wynikami roboty i opisami maszyn choćby nie wiem jak nowoczesnych. Opiszcie ci taki, jak się czułem po raz pierwszy, kiedy dyrektor fabryki przywitał się ze mną przy młocie, jakim był jego starym znajomym? Albo jak grzmotnąłem młodszego współtowarzysza pracy w narządzie, które chwytalem gołą ręką?

I tak chyba sporo tu opowiedziałem. A jeśli nie wszystko, to i nie o to chodziło.

A szło o to, żeby opowiedzieć o sobie, o jednym takim z Klocka pod Sieradzem, o człowieku prostym, nieuczonym, ale uczelwym i robotnym, któremu za młodu zdarzało się mieć i ducha niespokojnego, i pięści krewkawe, i z duszą na ramieniu, i ze śmiercią wodzącego się za łyby, i takiego do drsz, że jeszcze długie i ciekawe śpiewania albo śpiewki weselne może odstawić. Co zaś najważniejsze — o takim, co czworu dzieciom nie dał zdechnąć z głodu i na ludzi ich wykie rował, żeby lepiej niż my z Bronką na/dzej Ojczyźnie służyli. Bo przecie szkołę mają, zawody potrzebne, i co mnie bardziej cieszy — pracować lubią, czasem nawet na wyrost, znaczy społecznie, do czego ja nie miałem czasu ani głowy. To jeszcze ważne, że z przeskodami, ale szczęśliwie to z Bronką moją 45 lat przeżył i jeśli się tę Kostuchę — diablicę trochę poodpedza, dzieci i wnuki przyjdą z kwiatkiem i dobrym słowem na złote wesela. I niech sobie wtedy wypiją za zdrowie i pomyślność naszą i waszą w Polskę, niech sobie powspiewają, niech się chwala swą robotą i kochaniem, bo dopóki tak będzie, dopóty ludzie mają prawo ludzi się nazywać.

Oto słowny film o życiu jednego z kłockowian — licznę rodziny osiadłej nie wiadomo kiedy w tej wsi. Parę lat temu złapałem czas, aby tam pojechać. Daliób niczego prawie nie poznałem, chyba jedną remizę strażacką Sołtysa Lewandowskiego krew by chyba zalała, jakby z grobu wstał i to wszystko zobaczył. Przephych i bogactwo: dorodne sady, piękne domy, maszyny rolnicze, samochody, anteny telewizyjne, a w domach — szkoda czasu na liczenie, kto chce, niech sam zobaczy. Odnalazłem kilku krewniaków, przypomniałem mi się sobie nawzajem, ale tutaj nie byłem zadowolony. Oni już tak przesiąkli materialnie, że trudno z nimi gadać o czymś takim, o czym się z moimi dziećmi, a nawet z tymi co razem w fabryce robotem, rozmawia. Boję się, że tym krewniakom nawet duch się zmateriałizował. Niech im będzie, może mój sąd o nich jest wzięty tylko z wierzchu?

Taki jest słowny film... takie są naprawdę niektóre blaski i cienie mojego prostego, a nieprostego życia. Więcej nie mam się czym chwalić: orderów nie ma, pomnikiem jest mój trud — jeszcze na pół etatu stróżując, żeby niewielką emeryturą wesprzeć i nie oglądać się na dzieci.

A swoją drogą są rzeczy, które się w życiu powtarzają. Moje nowe, robotnicze życie zaczęło się od stróżowania — pewnie na tym samym dobieję do mety. Ta druga powtórka jest ciekawsza i — sercu miła. Oto urodziłem się w ziemi sieradzkiej i tu żyję w czasie swojej jesieni, bo ona, ta ziemia do mnie znów przysła. Proste: ta ziemia awansowała do rangi województwa! Rozumie się — województwa sieradzkiego.

RAFAŁ ORLEWSKI

Praca wyróżniona na konkursie na reportaże z Ziemi Sieradzkiej.

Nie zauważyłem, kiedy wszedł, dopiero gdy zajmował miejsce w fotelu, spostrzegłem, iż lekko utyka. Barczysty, silny i zdrowy mężczyzna, Piotr Różański, rocznik 51. Miał przejrzystą, jowialną twarz, ciemne gęste włosy i zawiadacko przycięty wąsik. Bazgrałem coś w notesie, nie wiedząc od czego zacząć, a wtedy on uśmiechnął się zagadkowo i powiedział:

— Wiem, co pan czuje. Pan na opory, zastanawia się pan, czy wypada pytać. Ale ja panu powiem. Miałem siedem lat, gdy wpadłem pod tramwaj. Amputacja i prawa noga poszła aż do biodra. Myślałem, że gdyby to się stało później, byłoby mi trudniej. A tak, ukończyłem podstawówkę, liceum ogólnokształcące i poszedłem do pracy. Zaczynałem na produkcji, do Spółdzielni Inwalidów im. J. Dąbrowskiego trafiłem prosto na dział techniczny.

— A jak to było ze sportem?

— Było tak, że gdy prezes Walczak dowiedział się, że jadę na obóz, zapytał: „To jak, on też jest inwalidą? To fajna sprawa, bo czymże ja się różnię od innych? Wie pan, każdy z nas robi wszystko, żeby mu miejsca w tramwaju nie ustępowali. Bo zbyt stanowcza uprzejmość wcale nas nie cieszy... A jeśli chodzi o narty — wraca do tematu — to stanąłem przed specjalną komisją lekarską. Pytają, co i jak, mówię więc, że noga. A na to pan Jerzy Koźuchowski, fachowiec od rehabilitacji sportowej, zaśmiał się i oświadczył, że w porządku, będę jeździł na nartach. Myślałem, że zwariował. Ale na obóz pojechałem. Kazali mi założyć narty. Udałem, że nie mogę przywiązać a gdy wszyscy pozakładali i odjechali, przysnąłem na górę do pokoju, nie ma głupich. Za karę pojechałem wyścigiem na szczyt, ale z powrotem musiałem zjechać na nartach. Pan wie, dla nas stok nie jest zbyt stromy, ale przeżycie nawet dla faceta bez defektu jest wiadome: serce w gardle i rozstrój żołądka. Zjechałem na leb! Po tygodniu tylek tak mnie bolało, że nie mogłem siedzieć. Piętnaście razy się wywalilem, ale uparłem się i przelamałem lek...

— I zdobył pan wicemistrzostwo Polski.

— Tak, w mojej kategorii nawet dwa: w slalomie-gigancie i w slalomie specjalnym. Tak mi się to spodobało, że zamierzam dostać się na mistrzostwa świata. Wszystko jest do zdobycia, niewidomi są na przykład znakomitymi biegaczami. Ja myślę, że powinniśmy korzystać też ze wszystkich zdobyczy cywilizacji. Jest odpowiednio przygotowany samochód do nauki jazdy, warto więc zdobyć prawo. Jak kończyny dolne są niesprawne, wszystkie urządzenia, gaz, hamulec, przerzucone są na górę...

— On jest bardzo skromny — stwierdza szefowa ZSMP, Jola Loboda. — On przecież jeździ na rowerze, gra w siatkówkę, rzuca dyskiem i oszczepem. A jak świetnie tańczy! U nas na wieczorkach żaden chłopak nie stoi pod ścianą.

No, pewnie, nikt się nie opiera o ścianę, bo nikt się nie oprze Joli, która jest uosobieniem wdzięku i filigranowej dziewczęcości. A jakby kto nie chciał tańczyć, to obowiązują posłuch. Bo Jola zajmuje takie stanowisko, że rany gorzkie; samodzielne stanowisko d/s samorządu i organizacji. Uff!

1

Pabianicka Spółdzielnia Inwalidów im. J. Dąbrowskiego istnieje już 28 lat. Ostatnio, po weryfikacji, stała się zakładem pracy chronionej. Powstał więc problem, co ważniejsze, produkcja czy rehabilitacja? Okazało się, że obie sprawy są równie ważne, bo bez rehabilitacji nie ma dobrej produkcji. Zaczniemy więc może od tej ostatniej.

Zastępca prezesa d/s technicznych, Stanisław Przybylski, tak przedstawia sytuację:

— Chciałem kiedyś dokonać pewnego porównania, ale dokumentów z pierwszych lat nie znalazłem. Trafiałem natomiast na rok 1965, wtedy roczna wartość wynosiła 16 mln złotych.

— A obecnie?

— Plan na rok 1977 wynosi 68 mln. Ogromny skok, i to przy minimalnym wzroście zatrudnienia.

— Co produkujecie?

— Produkcja jest wielobranżowa a nasze wyroby bardzo poszukiwane na rynku krajowym i zagranicznym. Eksport za 3 milionów. Z tkalni co roku wychodzi 550 tys. metrów gładkich tkanin nylonowych. Wyrabiamy żakardowe kapy gobelinowe, 60 tys sztuk na eksport, z czego 2/3 idzie do strefy krajów kapitalistycznych. Dzielniarnia daje 350 tys. par ognioodpornych rękawic ochronnych, szwalnia dostarcza poszukiwane na rynku wdzianka męskie i damskie, spódnice, golfy. Jeśli chodzi o wykończalnictwo, to świadczymy usługi na rzecz spółdzielni i innych zakładów: wykończanie i druk tkanin, barwienie i wybielanie przędzy. Ostatnio uruchomiliśmy dział elektro-

Ryszard Binkowski

POWRÓT

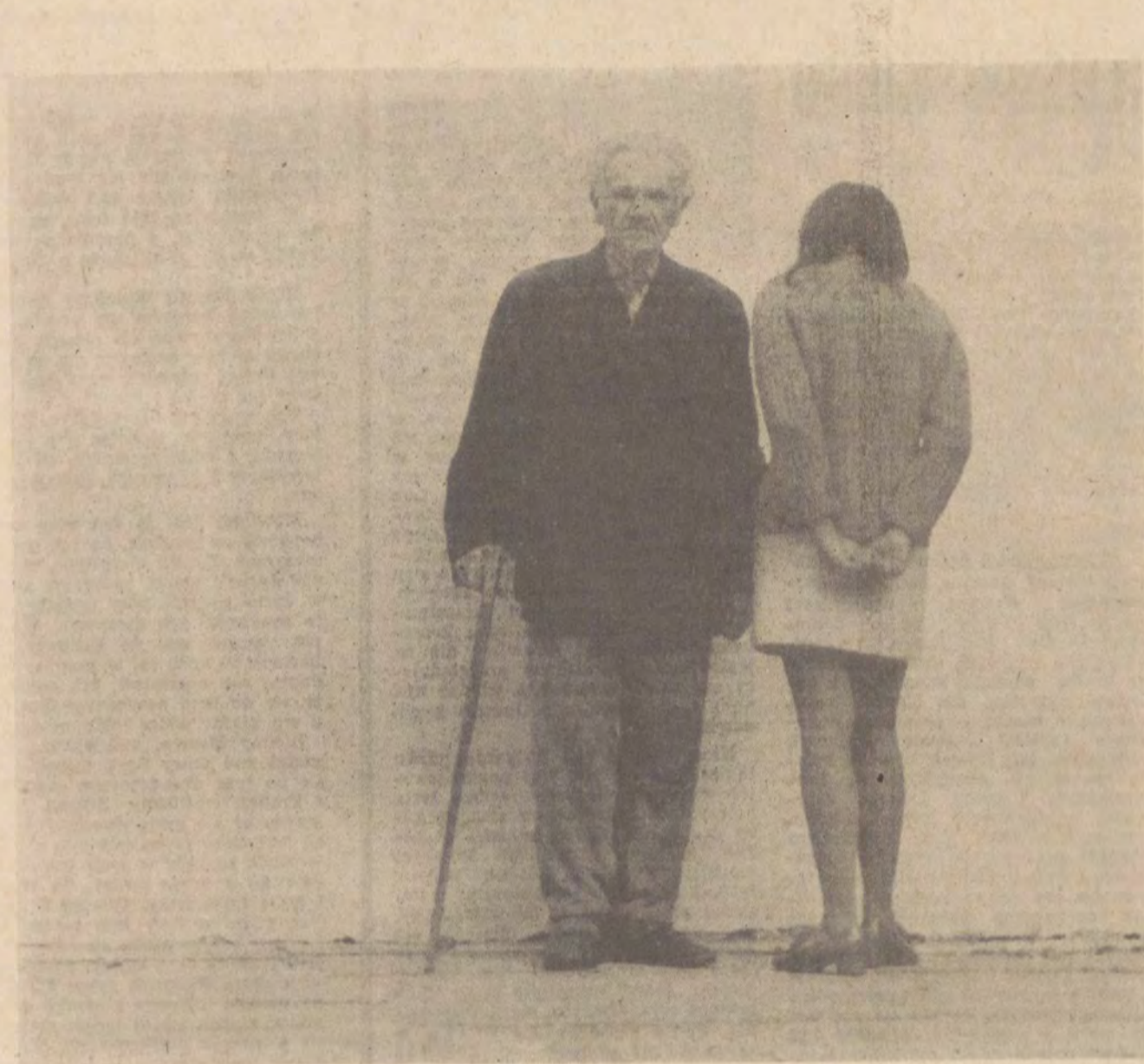


Foto: L. Janczak

2

techniczny, gdzie w kooperacji z popularną „Zarówką” montujemy lampy wiszące i komplety choinkowe. Szijemy też piękne abażury. (Widziałem, piękne, w stylu retro, ale ciemnie drogie). Muszę dodać — ciągnie Przybylski — że zatrudniamy również 137 chałupników, w tym 106 inwalidów. Mieszkają w województwie mielejskim łódzkim, piotrkowskim i sieradzkim. Transport musi grać, bo trzeba im dostarczyć towar i odebrać gotowy wyrób. Ponadto należy wyruszać w teren z pielęgniarką, aby przeprowadzić wywiady środowiskowe, pomóc tym ludziom finansowo, zapewnić pomoc lekarską...

Do rozmowy włącza się prezes spółdzielni, Edward Walczak:

— Nie, ja bez referatu, chciałbym tylko coś niecoś dodać. My robimy na eksport, ale nie korzystamy z importu. Z odpadków potrafimy zrobić artykuły dla strefy KK. Pragnęlibyśmy też wyjaśnić, dlaczego prowadzimy produkcję wielobranżową. Bo przecież najlepsza jest specjalizacja, produkcja jednokierunkowa. U nas jest to konieczne, proszę pana. I tak na przykład jako zakład pracy chronionej powinniśmy zlikwidować tkalnię, ponieważ za dużo decybeli. Owszem, w roku 1978 sprowadzimy pięć maszyn dziewiarskich wraz z urządzeniami towarzyszącymi i stopniowo będziemy przestawiać się na dzierżawstwo. Dlatego, że na tkalni jest większość ludzi starych. Trzeba ich przekwalifikować etapami. Żeby nie tracili na zarobkach, żeby mogli się przystosować do nowych warunków pracy. Nie wolno ich skrzywdzić...

— No, ale te komplety choinkowe, lampy?

— Że tak to ni przypiął, ni przylatał? Nie, proszę pana! Komplety choinkowe idą na eksport, w kraju pokrycie na nie jest małe. Możemy więc dać na rynek wartość dodatkową, a kiedyś, już pod własnym szyldem, wejść na eksport. Ale nie chodzi wyłącznie o produkcję. U wielu naszych pracowników pogłębiają się defekty fizyczne. Lekarz odsuwa ich od pracy na dzierżawie, tkalni czy szwalni. Ale przy montowaniu lamp mogą pracować. I mogą zarobić 3-4 tysiące miesięcznie.

— To nie ma problemu: produkcja czy rehabilitacja?

— Nie ma! Bo zdrowia nie odkupisz za żadne pieniądze...

Czasem jednak prezes Walczak, choć to w gruncie rzeczy człowiek o gołęmb sercu, marszczy groźnie gęste, krzaczaste brwi. Bo Przybylski rusza nerwowo wąsikiem i zerka zaczeplnie na Pierożyńskiego. Stanisław Pierożyński twarz ma niby uległą, ale swojego nie popuścił. Bo on jest asystentem do spraw rehabilitacji; on rozumie, że sprawy techniczne, owszem, ale rehabilitacja pierwsza. I wtedy Walczak musi wygłosić jakąś złotą myśl, która rozładuje napięcie, a Przybylski z Pierożyńskim pogodzą się. Jak nie zaraz, to na pewno w maju, na Stanisława.

Znaczenie rehabilitacji staje się jasne, gdy weźmie się pod uwagę fakt, że w spółdzielni na ogólną liczbę zatrudnionych, 75 proc. stanowią inwalidzi z I, II i III grup. Czteryście czterdzieści troje ludzi z wszelakimi schorzeniami, od kończyn dlinych do schorzeń narządów wewnętrznych, wzroku, słuchu, po choroby nerwowe i psychiczne włącznie.

Pierożyński zastanawia się głośno:

— Postęp techniczny powoduje wzrost wypadków. Ale jednocześnie technika może chronić przed wypadkami, i o to należy szczególnie dbać w zakładzie pracy chronionej, nie żalować nakładów. W roku 1976 przeznaczaliśmy na ten cel około milion złotych, ale to dopiero początek. Bo na każdym oddziale musi być szatnia, kąpiel rekreacyjny. I do każdego trzeba podchodzić niemal z osobna. Pracujący na dzierżawie epileptycy muszą mieć specjalnie obciążone, nie wywracalne fotele; głuchoniemi w stolarni posiadają odpowiednią sygnalizację świetlną, ludzie z wadami wzroku pracują przy specjalnym oświetleniu jarzeniowym. Nakłady na urządzenia i maszyny ułatwiające pracę wynoszą ponad milion złotych. Ponadto na cele adaptacyjne przeznaczają się dodatkowe kwoty dla tych inwalidów, którzy dotąd nie pracowali, albo zmienili zawód. Podczas nauki zawodu otrzymują 1.400 miesięcznie.

— To są sprawy związane z warunkami pracy.

— No, właśnie! A przecież jest jeszcze międzyspółdzielnianna przychodnia lekarska, z której korzysta 2.000

osób, są dopłaty dla tych, co jeżdżą do specjalistów, są wyjazdy na turnusy rehabilitacyjne; gimnastyka rehabilitacyjna, którą prowadzi opłaceni fachowcy, sprzęt dla klubu sportowego „Start”, pomoce domowe, jak maszyny do golenia, roboty, prałki, motorowery, 50 proc. wkładu na samochody, wózki inwalidzkie...

— Ktoś — przerwałem mu oszołomiony — mógłby zadać nietaktowne pytanie, czy to się opłaca?

— A o co toczy się ta gra? Żeby ci ludzie mogli normalnie pracować; żebyli mieli poczucie wartości.

I natychmiast zaprowadził mnie na dziedzielnię i wskazał jedną z chorych. Ta kobieta zarabia miesięcznie 6-7 tysięcy. Ale nie wyskakuje tak często jak mężczyźni na zakurkę.

Przy okazji wydało się, że Pierożyński z Przybylskim w gruncie rzeczy trzymają sztafę. Bo na wszystkich oddziałach zielono jak w oranżerii, przy kącikach śniadaniowych tak samo, a flancuje i sadzi te wszystkie fikusy, kaktusy i bluszcz sam Przybylski.

Weszliśmy do kącika rekreacyjnego. Maleńki, przytulny pokójek, dźwiękochłonne drzwi, stolik, fotel, wygodna leżanka. Gdy pracownik czuje się słabo, bierze klucz od mistrza i odpoczywa. Nie, nie symulują, praca akordowa.

Największy loskot w tkalni, choć na krosnach i pod sufitem zawieszono pochłaniacze decybeli. Ale są za to czujniki, które regulują temperaturę i wilgotność powietrza. Za tkalnią przyjemna jadalnia. Szkopuł tylko w tym, że śmierdzi. Przychodzą fachmani, coś rozkręca, zakręca, powiedzą, że w porządku, a mimo specjalnie zainstalowanego pochłaniacza, gaz nadal śmierdzi.

Byłem też w przychodni, obok k'órej znajduje się ścieżka zdrowia a wkrótce zostanie zbudowane uniwersalne boisko. W przychodni siedmiu specjalistów, od internisty po psychologa, gabinet odnowy. Tak, tak! Masażysta, mgr Wasiak, dozorował akurat montaż lustra korekcyjnego, w którym można korygować wady sylwetki. Narzekal, że sprzęt jeszcze mało, ale będzie przybywał.

— W LKS nie mógłby pan jeszcze pracować?

— W LKS pracuje mój kolega, Waldek Dyba. Ale tam chodzi o wycozyn, a tutaj o przywrócenie ludziom sprawności. Cieszy chociażby to, że taki facet, który nie mógł podnieść szklanki, albo ukroić nożem chleba, przychodzi i mówi: „Proszę pana, już mi nieźle idzie, proszę popatrzeć...”

3

Przez ich życie przewija się wiele spraw ważnych i drobiażgów. Trzeba wychwytywać również te ostatnie. Bo oni nie lubią żebrać o pomoc.

Tak jak wszędzie, najbardziej palący staje się problem mieszkania. Chora psychicznie chałupniczka przekazała ziemię państwu. Budynek zaczęły się walić. Trzeba było interweniować u naczelnika gminy i w urzędzie miasta, aby mogła wpłacić „członkowskie” i otrzymać mieszkanie w blokach.

Trzeba odpowiednio rozlokować 2 rodziny (5 osób) z oznakami choroby psychicznej, która gnieździł się w jednej izdebce bez wygód.

Jedna pracownica ze szwalni (przyszła ze wsi, bo spaliły się im budynki) otrzymała mieszkanie w blokach, ale urządzenia sanitarne nie działały. Dostała 1.000 zł zapomogi, przyszedł ślusarz z własnej brygady remontowej, naprawił.

Albo drobiażki: nawala terma gazowa u inwalidy. Interwencja ze strony spółdzielni i człowiek ma na święta ciepłą wodę. Albo mężczyzna z uszkodzonym stawem biodrowym: trzeba mu założyć specjalne uchwyty, żeby mógł wejść i wyjść z wanny.

A poza sprawami materialnymi taki fakt. Przychodzi do spółdzielni człowiek z zakładu dla psychicznie chorych. Odchodzi od maszyny, kryje się po kątach i płacze. Boi się, że to się wyda, jest przekonany, że będą mu dokuczać, nazywać wariatem.

Do tego nie dochodzi. Bo spółdzielnia tworzy jedną wielką rodzinę, w której nikt nie może być pominięty. I chyba właśnie dlatego pracownicy tak cenią swój zakład pracy.

— Ale z początku ciężko jest coś zrobić — mówi Jola Loboda. — Przychodzą młodzi ludzie, bardzo zahukani, od dzieciństwa spychani na margines, albo żyjący jeszcze w szoku po wypadku. Trzeba do nich dociepać indywidualnie, w sposób taktowny i intymny, z intuicją. Nie brutalnie, ale i bez litości. Nasza organizacja ZSMP liczy 55 członków i jest największa w pabianickiej spółdzielni, czości. No i udaje nam się wciągnąć młodzież do czynnego życia. Pomagają wszyscy, bez względu na schorzenie. Wykonują plakaty, zaproszenia, robią zdjęcia w kółku fotograficznym, uczestniczą w czynach społecznych. W grupie czują się lepiej, to bardziej wciąga, dlatego chętnie biorą udział we wspólnych wyprawach do kina, na biwaki, tańca na zabawach. Po prostu: sami swoi, nikt nikogo nie podgląda, nie obdarza współczującym spojrzaniem.

Anna Kucharska, kierowniczka dzierżawni (także inwalidka) pełni w spółdzielni funkcję I sekretarza POP. Stwierdza:

— Istnieje ścisła współpraca między zarządem, ZSMP i organizacją partyjną (znów największą w spółdzielni pabianickiej, 72 członków i 5 kandydatów) i może dlatego właśnie stosunki międzyludzkie układają się tak dobrze. Jeśli często rozmawiamy z mistrzem na temat danego pracownika, to potem potrafimy też rozmawiać z nim samym, unikając drażliwości, z właściwie dobrzanym słownictwem. Bo od atmosfery zależy bardzo wiele. Ale żeby atmosfera była przyjemna, każdy z kierownictwa musi być po trosze psychologiem, musi mieć wiele wyrozumiałości i cierpliwości. To daje efekty. W dzierżawni pracują ludzie z najcięższymi schorzeniami. Dziś są przodownikami pracy. Zarabiają dużo, przestali być ciężarem dla rodziny...

Kolejna złota myśl prezesa Walczaka: — Trzeba dążyć do tego, żeby ludziom w spółdzielni było lepiej jak w domu.

Z tego wszystkiego można by wyciągnąć fałszywy wniosek, że spółdzielnia inwalidów to coś w rodzaju ochronki. Ale czy tak jest? Pod rękę wpadło mi pismo datowane 5 grudnia 1977 r., w którym Rada i Zarząd Regionalnego Związku Spółdzielczości Inwalidzkiej daje wyraz szczeremu uznaniu i podziwu dla Spółdzielni im. J. Dąbrowskiego za zobowiązanie w wyniku którego produkcja roczna wzrosła o 7 mln zł.

W spółdzielni roczna wartość produkcji przypadająca na jednego pracownika przekroczyła 100 tysięcy złotych. To dużo. Bo praca odbywa się bez taryfy ulgowej. Ludzie wrócili do siebie, stali się przydatni i wartościowi.

ALEKSANDER PUSZKIN EUGENIUSZ ONIEGIN

przełożył FELIKS NETZ

IV

Skrótami, mimo głównych traktów,
Do domu mkną co koń wyskoczy.
My podsluchajmy zaś ukradkiem
O czym też mówią w cztery oczy:
— Cóż to, mój drogi, znowu ziewasz? —
„Z nawyku, Leński” — Czy się miewasz
Gorzej niż zwykle? — „Nie, tak samo”.
Późno już, widzisz, noc nad nami;
Prędzej, poganiaj, hej, Andriuszka!
Cóż to za pejzaż?! Istne kpiny!
Nawiasem mówiąc z tej Ławriny
Prosta, lecz miła jest staruszka;
Oj, żeby mi nie wyszła bokiem
Ta woda z borówkowym sokiem.

V

Powiedz mi: która z nich Tatiana?
— No, jakże, ta milcząca, mroczna,
Ta równie smutna jak Świętłana,
Co wszedłszy siadła blisko okna. —
„Ty kochasz się w tej młodszej, prawda?”
— Bo co? — „Ja wybrałbym tę hardą,
Gdybym poetą był, mój drogi.
Coś brak mi życia w rysach Olgi.
Tę twarz, Van Dyck, ni mniej ni więcej,
Dał swej Madonnie: przańne lica,
Jak ta głupawa twarz księżycy,
Na tym głupawym firmamencie”.
Leński półśłówkiem się wykrecił
I do rozmowy stracił chęci.

VI

Tymczasem pobyt Eugeniusza
W domu Ławrinów był nie lada
Gratką dla wszystkich! W lot wyruszył
Sąsiad z nowiną do sąsiada.
Stąd plotki, bzdury i domysły,
Ten coś napomknął, ów uściślił,
Jęli żartować, mózg wyteżać,
I już dla Tani mają męża;
Ktoś twierdził (nie masz końca bredni!),
Za datę ślubu uzgodniono,
Tylko przelożyć trza, bo pono
Brak tu obrączek odpowiednich.
Losy Leńskiego pod tym względem
Dawno zostały rozstrzygnięte.

VII

Tatianę dotknął i rozdrażnił
Ten głupi domysł, ale skrycie
W radosnym drzeniu wyobraźni
Sama zaczęła o tym myśleć;
Ta myśl w jej sercu dojrzewała;
Teraz jest jasne: pokochała!
To tak się w ziemi dzieje z ziarnem,
Gdy płomień wiosny je ogarnie.
Ten głód już dawno Tanię ocalał,
Czuła tęsknotą ciało trawil.
Laknęła tej fatalnej strawy;
O, jakże długo ta udręka
Pierś jej dławiała, mącąc w głowie;
Dusza czekała... kogokolwiek.

VIII

I zjawil się... Przejrzaly oczy,
To on! — wyrzekla bez wahania.
Lecz, biada! — odtąd w dzień i w nocy
Twarz jego zewszad się wylania,
Wszystko wypełnia; bez ustanku
Wszystko jej mówi o kochanku,
Z natrętną, czarodziejską siłą.
Drażni ją czulość; niegdyś miła
Troskliwość służby dziś ją złości.
Tak pogrążona w melancholii,
Mileżąca, głucha, mimo woli
Przeklina próżnujących gości,
Ich odwiedziny bez przyczyny
I czas beznamiętnej paplaniny.

XIV

Przekażę wam te proste sprawy,
O których stryj lub ojciec baje,
Czar pierwszych spotkań, wdzięk zabawy
Gdzieś pod lipami, nad ruczajem;
Męki zazdrości i rozstania,
I lzy i radość pojednania.
Poróżnię ich, to znów — na zgodę,
Aż do ołtarza ich powiodę.
Przypomnę, jeśli pozwolicie,
Słowa miłości i tęsknoty,
Które przed laty czule plotłem
U nóg przepięknej miłośnicy;
O, jakże zwodził ją językiem!
Lecz dziś od takich słów odwykłem.

XV

Tatiano, och, Tatiano miła!
Razem płaczymy dziś, kochana:
Otoś swe losy powierzyła
W ręce fircyka i tyrana.
Zginiesz, najmiłsza; ale wcześniej
Smak życia poznasz najboleśniej:
Blaskiem ufności oślepiąca,
Zerwiesz rozkoszy cierpkie grona.
Odurzy cię trucizna słodka,
Marzenia rojem cię oblegną,
I wszędzie dojrzyysz tylko jedno —
Miejsce, gdzie mogłabyś go spotkać;
A on — o krok, o krok przed tobą.
Twój pan i władca... aż do grobu.

XVI

Miłosny czerw Tatianę toczy,
Tęskni i błąka się wśród alej,
Nagle przystanie, przymknie oczy,
I leni się postąpić dalej.
Pierś się uniosła, a na twarzy
Gwałtowny płomień się rozjarzył.
Technienie zamarło jej na ustach,
I w uszach szum, i w oczach pustka...
Nastanie noc; już księżyc wyszedł
Na długi obchód nieboskłonu,
I śpiew słowika się rozdzwonił
W gęstwinie drzew, wśród nocnej ciszy.
Lecz dobry sen nie zmorzył Tani,
Szeptem odzywa się do niani:

XVII

„Tak mi dziś, nianiu, zasnąć trudno!
Ach, otwórz okno, siadź tu obok”.
— Cóż to ci, Taniu? — „Tam mi nudno,
Mam chęć pogwarzyć teraz z tobą”.
— O czymże, Taniu? Ech, bywało,
Nosilam w głowie mej niemalo
Bajek—niebajek, miła moja,
O wilkołakach i dziewojach,
A tera ćma!... I — ani, ani...
Było, a nie ma; Tak to, widać,
I na mnie tera przyszła bida!
Coś się zaparło... — „Mówi mi, nianiu,
O tamtych czasach, choć do rana...
Czy byłaś wtedy zakochana?”

XVIII

— A gdzież tam, Taniu! W one lata
Nikt z nas nie wiedział co to miłość;
Za takie coś z Bożego świata
Precz by mnie świekra przegoniła. —
„Więc jakże za mąż wyszłaś, nianiu?”
— Tak jak nakazał Bóg! Mój Wania
Młodszy ode mnie był, a przecie
Żyłam trzynaście lat na świecie!
Przez dwa tygodnie stara swatka
Chodziła do nas; no i czule
Pobłogosławił mnie ojczulek.
Ze strachu mdlałam na ostatku,
Gdy z płaczem warkocz mi rozpletli,
Śpiewając — w cerkiew mnie powiedli.

XXI

Tatiana, patrząc w twarz miesiąca,
Sercem unosi się w przestworza...
Nagle — ta myśl olśniewająca...
„Zostaw mnie; zaraz się położę;
Przysuń mi stół i jeszcze podaj
Papier i pióro, moja złota.
I, wybacz, nianiu”. O, nareszcie
Sama wśród ciszy. Księżyc świeci.
Na łokciach wsparła się i pisze,
A w myślach — on! — tak wyraziście...
I w nierozważnym, szczerym liście,
Niewinna, pierwsza miłość dyszy.
Już list gotowy. I już rano.
Do kogo jest ten list, Tatiano?!

LIST TATIANY DO ONIEGINA

Piszę do pana! — czyż to mało?
Któż odważy się na więcej?
Cześć moją składam w pańskie ręce:
Czy pan mną wzgardzi za tę śmiałość?
Nie, pan, nieszczęsnej w jej udręce
Okaże litość i współczucie:
Pan mnie, bez słowa, nie porzuci.
Z początku chciałam to przemilczeć.
Proszę mi wierzyć: o mej biedzie
Nigdy by pan się nie dowiedział,
Gdybyż nadziei choć promyczek,
Że raz w tygodniu, dobry Boże,
Zobacze pana w naszym dworze,
By się nacieszyć pańską mową,
Do pana słówko rzec, a potem,
I dniem i nocą myśleć o tym,
I czekać aż pan przyjdzie znowu.
Lecz — mówią — pan od świata uciekł,
I nudno panu w wiejskiej głuszy,
A my... cóż, myśmy prości ludzie,
Choć radzi panu z całej duszy.

Co panu do nas przyjść kazalo?
Przecież w tej wsi wśród pól i borów,
Nigdy bym pana nie poznała,
N. gorzkiej męki, ni pokory!
Niedoświadczonej duszy poryw
Pewnie bym uśmierzyła gładko...
Wysłałabym za mąż — i do zgonu
Byłabym najwiewniejszą żoną
I najcnotliwszą w świecie matką.

Ktoś inny?! — Nie, jak świat szeroki,
Któż mógłby duszę moją pojąć?
To przecie boskie są wyroki...
To wola niebios: jestem twoją!
Tylko dlatego dotąd żyłam,
Żeby się kiedyś spotkać z tobą;
Ja wiem, że Bóg mi ciebie zsyła,
Że będziesz przy mnie aż do grobu.
Tyś spokój mego snu naruszył;
Jeszcze nieznan — a już miły,
To twoje oczy mnie paliły,
Twój głos rozbrzmiewał w mojej duszy.
Kiedyś... — To nie był sen! Bez ruchu
Patrzyłam: wszedłeś! — Wpół omdlała,
Rozbita, drżąca — zrozumiałam:
„Tak, to jest on!” — krzyczałam w duchu.
Prawda, że ja twój głos słyszałam,
Bo przecież coś mówiłeś do mnie,
Kiedy ubogim pomagałam,
Albo — modlitwą uśmierzałam
Serce — wzburzone tak ogromnie...
I w teje chwili, jak to dawno,
Czyż to nie ty, najdroższa zjawo,
W przejrystym mroku zamigotał,
I głowę złożył na poduszce,
Do świtu szepcząc mi najczulsze
Słowa miłości i tęsknoty?
Kim jesteś? Mym Aniołem Stróżem,
Czy kusicielem, co mnie urzekł?
Powiedz: co czarne jest, co białe?
Może to duby są smalone,
Oszustwo duszy oszalałej,
I coś innego mi sądzone...
Wszystko mi jedno! W twoje ręce
Oddaję dziś swój los na wieki.
Przed tobą płaczę najgoręcej,
Twojej dopraszam się opieki.
Pomyśl, jak ja się tutaj duszę!
Dobrego słowa nikt nie powie...
O, jakże mi się mąci w głowie!
Cicho, w milczeniu umrzeć muszę.
A jednak czekam! Bo — spojrzeniem
Możesz ożywić moje serce,
Lub śmiechem zbudzić mnie szyderym,
Ja przyjmę nawet potępienie.

Już kończę! — Wstydzę się i trwożę...
Odczytać listu nie mam siły...
Lecz mam ostoję w twym honorze,
I zaufałam ci, mój miły...

Miłośników wielkiego poety Aleksandra Puszkina dzielimy — jak dotąd — na zwolenników przekładu Juliana Tuwima oraz na zwolenników przekładu Adama Ważyka.

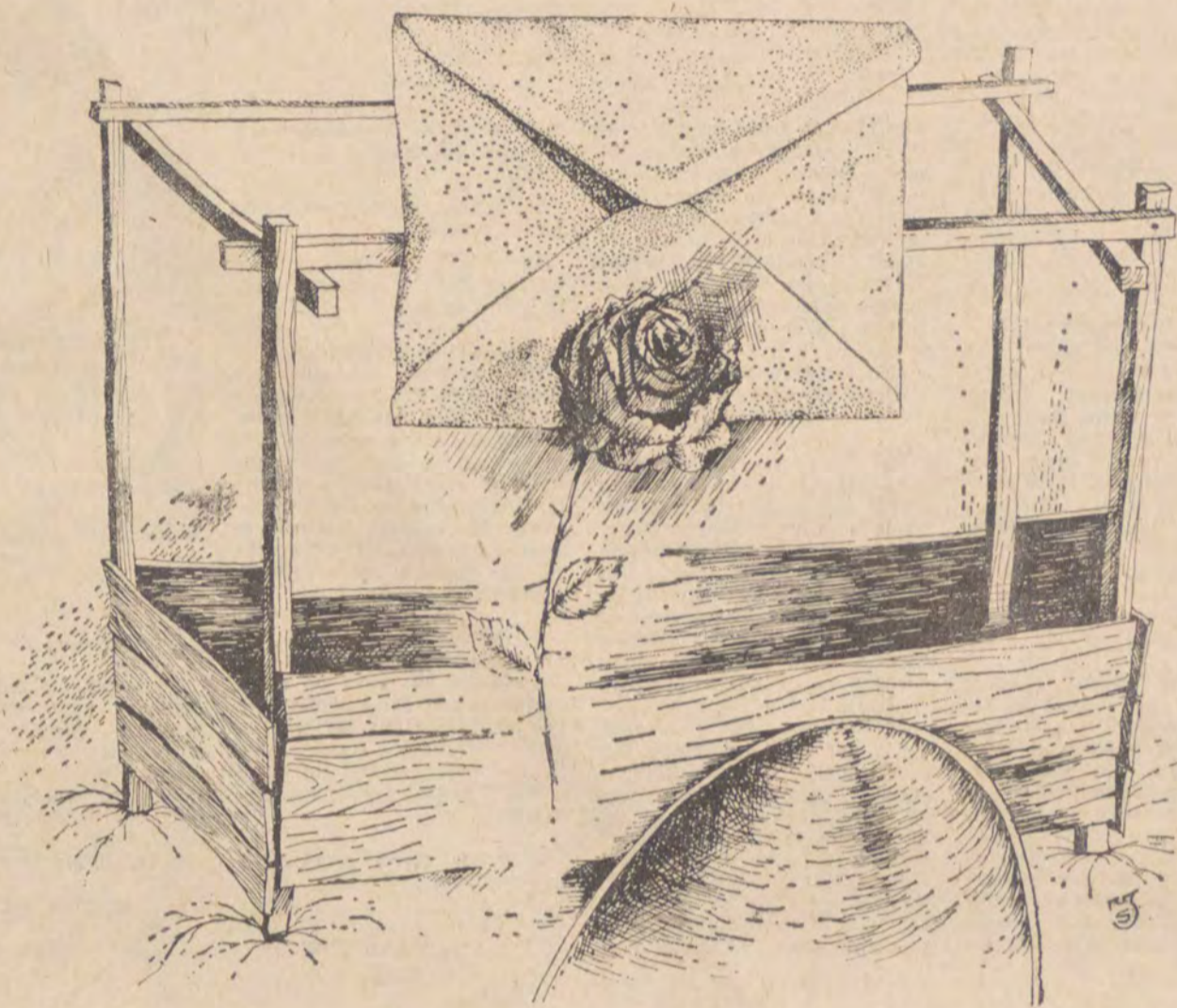
Obecnie mamy trzecią, ambitną próbę translatorską. Feliks Netz niespełna czterdziestoletni poeta, prozaik i publicysta z Katowic przełożył poemat Puszkina na nowo i jest to — jak twierdzą znawcy — próba niezmiernie interesująca, wnosząca do dotychczasowych przekładów zupełnie nowy ton. Czytelnikom „Ogłosów” prezentujemy zatem nie publikowane dotąd fragmenty nowego przekładu „Oniegina” dokonane przez Feliksa Netza.

Wiktoria z zalem stwierdza, że po ojcu zachowało się niewiele pamiątek. W skrzyni odnalazła jeden tylko list, jaki Tomasz przesłał swojej tonie Eugenii, kiedy był na wojnie. Autorem listu był Tomasz, ale pisał go przyjaciel Tomasza, Walasek. Tomasz nie umiał pisać, natomiast pamięć, jak to niejednokrotnie udowodnił, miał doskonałą. Wiktoria powiada: „Byli pewnie w jakiejś wsi na kwaterze, albo siedzieli w ziemlance, Tomasz dyktował, a Walasek pisał”. List był pisany wierszem: „Najdroższa Gieniusiu. Siadłem sobie przy stolczku i sparłem se głowę, i z Tobą, kochana Gieniusiu, zaczynam rozmowę. Przez lasy i gaje rączkę Ci podaję, a o zdrowie i powodzenie się zapytuję, bo mnie, ma Gieniusiu, nieźle się powodzi, bo Ty tylko jedna w mem serdusku siedzisz”. Taki był początek listu, który Wiktoria oparzyła uwaga: „A jakże, już ja wiem, jak mu się powodziło w zawsonym okopie. Widziałam ja te okopy i pralam czarną odzież. Niektórzy to nawet koszul. nie prali, bo powiadali, że wszy takiej czarnej się nie trzymają. A chleba, to im nie brakowało? A ciagły strach nie nekali?”. Wiktoria stwierdza, że Tomasz nigdy nie mówił o swoich strapieniach. Choćby nie wiem jak cierpiał, nie pozalił się nikomu. Było mu z tym na pewno gorzej, bo komu jest lekko, kiedy zamyka cierpienie w swoim sercu i od nikogo nie otrzymuje pociechy. Ale Tomasz był już takiego usposobienia. Cieszył się, jeżeli drugiemu człowiekowi zaoszczędził bólu albo podał rękę i wyratował z biedy. Dalszy ciąg wierszowanego listu był utrzymany w tym samym tonie. „I piszę do Ciebie, me mile kochanie, bo radym Ci widzieć, niż moje śniadanie. Bo śniadanie mam w każdy dzień, a Ciebie nie widzę raz na tydzień”. Wiktoria powiada: „U nas podobnie śpiewają: bo kluski na mleku ta ja co dzień jadam, a z tobą dziewczyno raz na tydzień gadam. Tomasz więc przerobił naszą śpiewkę, bo tak mu było poręczniej”. List był długi, zawierał same wyznania miłosne, takie jak te: „By się mogły góry w doliny unieżyć, żeby jak mógł, Gieniusiu, do Ciebie się zbliżyć. Pójdę do gaika, spytać się słowika, czy by mi nie zaniósł do Ciebie liścika. A słowik się śmieje, aż gaik się chwije, i głosi po lesie, że liścik poniesie. Rośnie róża w ogrodzie, zaczyna się pączki, chciałby ja się z Tobą, moja Gieniusiu, złączyć. Jako róża w ogrodzie między kwiatkami, także Ty wyrosła między dziewczętami. Więcej Ci nie piszę, tylko Cię pozdrawiam, i w sercu Cię noszę, gdy legam i wstawam. I jeszcze pozdrawiam razem z rodzicami, żebym mógł być jak najprędzej przed Twimi oknami. Teraz Cię pozdrawiam przez stoniane ździebło, żeby Ci się w życiu jak najlepiej wiodło. I pozdrawiam Cię przez gałązkę chrustu, boś mi jest, Gieniusiu, do mojego gustu. Już ja zakończę te moje wyrazy, ścisam Cię i całuję sto tysięcy razy”.

Powiedziałem Wiktorii, że takie listy można znaleźć w starych rocznikach pism ludowych, a bodajże spotkałem taki sam w jednym z numerów „Piasta” z czasu pierwszej wojny, ale Wiktoria odparła, że to nic nie szkodzi, bo na wsi znają wiele takich wierszy i chyba nie ma dnia, a w każdym razie nie ma zabawy czy wesela, żeby nie urodziły się podobne. Ona sama mogła by do rana mówić takimi zdaniem. Ludzie na wsi żyją za pan brat z przyrodą, ze słońcem, księżycem, gwiazdami, z drzewami, trawą, wodą, ziemią, ze zwierzętami, ptakami i owadami, i choćby nie wiem jaka technika przyszła tutaj, i jak to pokazują nieraz w telewizorze, pracami w polu można by kierować jak w fabryce przy pomocy pulpitu, to słońce i tak nie zgaśnie, gwiazdy nie znikną, drzewa co wiosną będą puszczać pąki, trawa będzie odrastać. Kiedy człowiek patrzy codziennie na te same obrazy, to i słowa układa podobne. No, jednemu idzie to zreczenie, drugiemu gorzej. Tomaszowi szło bardzo dobrze. Co do tych zaśpiewek, to jest tak: należą do tego, kto je wygłasza. Ile razy Tomasz, kiedy był w humorze, podśpiewywał: „Śię ci pozdrowienie przez doliny, rzeki, bom ukochał twoje oczka i powieki. Śię ci pozdrowienie przez wino w maniere, bo ja ukochałem twoje dobre serce”. List Tomasza, mówi Wiktoria, dla niej wiele znaczy, bo kiedy go czyta, a od czasu do czasu lubi zaglądać do niego, wydaje jej się, że widzi w nim twarz ojca. Odnosi takie wrażenie, jakby trzymała w ręku fotografie. Przypominają się jej sceny, kiedy odpoczywali z Tomaszem w niedzielne popołudnia przy Kamieniu. Przychodził na te spotkania sąsiad Antoni, który mieszkiał w dawnym dworze. Tomasz od pewnego czasu mówił: we dworze po Dembińskim, jakkolwiek Dembińscy od stu lat już tutaj nie byli obecni, Antoni był wysoki, żyłasty, wąsy zaczynały mu siwieć, miał twarz jak z portretu, który kiedyś we dworze widziała Woźniaczka. Miał głos silny, tubalny. Lubił żarty i docinki. Uzupełniał się z Tomaszem. Co jeden zaczął, drugi natychmiast kończył. „Jakby czytali w swoich myślach”, mówiła Wiktoria. Antoni często przyprowadzał swoich synów, Jana i Henryka, którzy uczyli się

o miłości Tomasza, żołnierzu Wani i wigilii

Tadeusz Papier



Rys. Janusz Szymański-Głanc

wtedy w gimnazjum. Tomaszowi podobali się synowie i mówił o tym Antoniemu. Antoni gładził wasy i odpowiadał: „Inaczej nie może być. Czego byście chcieli? Przecie to ja jestem ojcem”. Tomasz spoglądając na Jana, mówił: „Ty będziesz ojcem. Ja cię już widzę w mundurze. Poniekąd to i wypadła, żebyś poszedł do wojska. W wojsku muszą być nasi oficerowie. Ze wsi. Za dużo tam paniczyków. W waszym domu błąka się duch generała. Pochowali go gdzieś w Paryżu, ale on tu co noc przychodzi, siada na tym kamieniu i patrzy. Myślisz, że on się martwi, że jego gospodarke diabli wzięli? On nie z takich. Zresztą ja ci powiadam, że prędzej czy później panowie odejdą ze swoich dworów. Inne czasy nadchodzi. O co się martwi nasz generał? Czy z tego domu wyrośnie drugi taki jak on”. „Ech, Tomaszul”, Antoni na taką przepowiednię nie znalazł odpowiedzi. Na kilka lat naprzód sprzedał swój ogród, aby dzieci mogły się uczyć. Po chwili jednak dodał, a oczy przy tym mu się śmiały: „Duch święty przez was, Tomasz, przemawia. Generał nie generał, ale zuch chłopak. Ze świecą takiego drugiego szukać”. „Co zaś do młodszego — mówił Tomasz spoglądając na Henryka — to sam nie wiem. Mogłbym ze źródłka wywróżyć, ale nie chcę zauraczyć. On mi do książek za bardzo pasuje. To jego kariera”. Wiktoria przypomina sobie dokładnie tę rozmowę. Ona oczekiwała się spełnienia proroctwa ojca. Jan wprawdzie nie został generałem, ale jako porucznik kawalerii bił się dzielnie w Wrześniu. Otrzymał Krzyż Virtuti Militari. Tomasz tej chwili nie doczekał, umarł przed wojną, straszniejszą niż poprzednia, ale zdążył jeszcze powitać we wsi Jana, który przyjechał po ukończeniu Podchorążówki. A Henryk został rzeczywiście profesorem. Wiktoria zadaje sobie nieraz pytanie: „Jak to się stało?”.

Te sceny przy Kamieniu i Źródelku, należą także do pamiątek po ojcu jak i ów list znaleziony w starej skrzyni. Posiadają taką samą wartość. Wywołują podobne wzruszenia. Nie można zapomnieć Tomasza i Antoniego, jak siedzieli przy Źródelku, wygrzewali się na słońcu, kurzyli papierosa (dziadek jednak był wierny fajce) i nawzajem prześcigali się w przypominaniu dawnych historii. A znali ich wiele. Jeżeli nie

rozmawiali o Dembińskim ani też o polityce, były to ulubione tematy Tomasza, sięgali do przeżyć wojennych, kreślił sylwetki żołnierzy polskich i rosyjskich (Tomasz służył w wojsku rosyjskim) i wtedy można było podziwiać dowcip, humor, cięty język Tomasza i Antoniego. Mąż Wiktorii Andrzej, również przyłączał się do rozmów, ale on był młodszy, służył w ostatniej fazie wojny i nie miał za sobą tych doświadczeń, które tamci przeszli. Wiktoria powiada: „Pamiętam jak ojciec wspominał o jednym żołnierzu carskim (ojciec mówił „soldat”), który był bardzo bystry. Pośród tych żołdatów było wielu, z którymi ojciec się przyjaźnił. Jeden z nich (opowiadał Tomasz), Wania czy Jasza, stał na warcie. Przykrzyło mu się i z nudów, a może nie tylko z nudów, napisał na budce strażniczej: biedny soldat, diengów niet. Rano zobaczył ten napis oficer. Jak wziął „smatracę”, tak się dowiedział, kto takie słowa napisał. Soldata zaarrestowano, sąd wojenny orzekł, że to buntowczyk. Groziła mu kara śmierci. Gdy o tym dowiedział się car, przywołał Wanę do siebie i zapytał go, dlaczego takie bzdury wypisuje, skoro on, car, płaci wszystkim żołnierzom grube pieniądze. Żołnierz odpowiedział, że te pieniądze w małej części docierają do nich, reszta gdzieś ginie po drodze. Na to car: no, słuchaj, ja mam moc pieniędzy, każde wam płacić, ale powiedz mi ty, jak wy mnie soldaci cenicie, ile ja diengów wartam? Na to Wania: Wasze Imperatorskoje Wielicestwo warta 29 rubli. Car zdziwił się i oburzył. Jak to? — zapytał. Ano tak, odparł Wania. Bo jeżeli Jewrejze za Chrysta Boha zapłacili 30 rubli, to car musi być tańszy o rubla. Ukontentowało to cara. Dobrze masz w głowie, powiedział do Wani. Pamiętaj, abys nikomu tego za darmo ni mówił. Niebawem car zawołał swojego pierwszego ministra i zapytał go: ile jestem wart? A na to minister: Najjaśniejszy Panie, na ciebie nie ma w całym świecie ceny, bo te wszystkie grody i sioła i cała nasza ziemia są twoje. Jesteś durak, rzekł car, pójdźcie do tego soldata, co siedzi w turmie, a on ci wszystko wyjaśni. Minister poszedł i musiał żołnierzowi dużo zapłacić za odpowiedź. „Coś mi się widzi, wtrącił wtedy Andrzej, że car był zbyt laskawy dla Wani. W waszych okopach ładnie o nim mówili. A chwalić się, że byliście taicy oserwoni”.

Tomasz to oburzyło. „Cara już dawno diabli wzięli, powiedział. Nie słyszałeś o tym?”. „Mądrzy jesteście”, rzekł z przekąsem Andrzej, który szukał wyraźnej zaczepki z ojcem. W tym czasie niejedną łzę wylał z powodu swojego chłopca. Ojciec ujmował się za mną i stała atmosfera w domu stawała się coraz bardziej napięta. Antoni, gładząc wasy (a ten ruch oznaczał, że Antoni szykuje nową zaczepkę), zapytał: „A ten soldat, to wasz znajomek?”. „A jakże!” odpowiedział bez wahania ojciec. „Na pewno miał na imię Wania? A może Jasza?”. „Nie, Wania”, upierał się Tomasz. Oj, Tomasz, Tomasz! zawołał Antoni. A toć ja waszą przypowiadkę już gdzieś czytałem, wiem, u starego Jakuba. Nie pamiętam, w jakim piśmie, ale mogę to odszukać. Antoni „Jakubem” nazywał Jakuba Bojkę, którego kiedyś poznał, chwalił się, że był z nim w zażyłości, czytał jego artykuły, a książkę „Dwie dusze” miał u siebie w domu. „Wy, Tomasz, mówił Antoni, macie jak napisano u Jakuba, dwie dusze. Jedna jest na wierzchu, a druga siedzi pod spodem. Ta na wierzchu zmieszła, co jej ślina na język przyniesie, a ta druga siedzi cicho i rzadko się odzywa. Chyba wtedy, kiedy na stole zobaczy miodówkę”. „A wy, Antoni, odparł ojciec, nie pchajcie się z takimi andronami. Jakbyście dobrze przeczytali waszego Jakuba, to byście zrozumieli, że tu chodzi o inne dusze. Ja mam jedną i to tę lepszą. A ta druga, co zgina kark i piaszczy się przed większymi, została przy was”. „Poniosło was teraz”, rzekł Antoni i wstał. Jego chłopcy także się ruszyli z miejsca i odeszli. „Tomasz, powiada Wiktoria, zdawał sobie sprawę z tego, że ubliżył Antoniemu. Ale nie przeprosił go, bo to byłoby według niego „nie honor”. Przekonałam się nieraz, że Antoni był odważny. Kiedyś mu Niemcy zabrali konia, Antoni mówił głośno, gdzie tylko było więcej ludzi, w mieście czy na wsi, w sklepie czy gminie: ten skurczyzsyn Hitler zadarł ze mną, marny los go czeka. Kto ze mną zadrze, musi zginać. Niektórzy się śmiali, a niektórzy oglądali się wokół i wychodzili. Ja, powiada Wiktoria, nie lubiłam, kiedy ojciec i Antoni się kłócili. Jednak ten gniew nie trwał długo. Nazajutrz z rana Antoni przychodził do nas. Za-

czywał rozmowę, jakby wczoraj nie się nie wydarzyło”.

Tomasz jednego nie przewidział: że przy tym Kamieniu i przy Źródelku, które bije u jego stóp, będzie odpoczywał kiedyś syn albo wnuk owego Wani. Tomasz wrócił do kraju wtedy, kiedy w Rosji trwała wojna domowa. Był ciekaw, jakie to życie układa się w kraju, w którym kiedyś przebywał jako żołnierz carski, gdzie zostały groby jego kolegów z napisami: „Mir prachu twojemu”, albo „Budiet im ziemia lekka”, skąd pisał listy miłosne, że „smutne jest me serce, a nieraz i płacz, bo cię może, Gieniusiu, długo nie zobaczę”. „Pojechałby tam człowiek i na własne oczy sprawdził, jak jest, bo co ludzie mówią, tylko na wietrze pisać”, zwierzał się Wiktoria.

„Jest w tym Kamieniu i Źródelku jakaś siła, powiada Wiktoria. Co się tu: j pomyśli albo powie, to się spełni”. Może ta siła ściągnęła w nasze strony wnuka owego Wani, o którym opowiadał Tomasz? Stara Woźniaczka opowiadała (dzisiaj Woźniaczka jest tak stara, że myśla się jej czasy i ludzie, a niektórzy przezywają ją głupią), że za czasów jej młodości dziewczyny ze wsi przychodziły w wigilię do źródelka i obmywały w nim swoje oczy. A jeśli mroź pokręcił skorupą wodę, to przykrywały powieki kawałkami lodu. Woźniaczka twierdziła, że oczy po obmyciu przez cały rok miały odbiask wody źródlanej, były błękitne, zielone, i takie, jakie kto chciał, żeby były, i kiedy chłopcy w nie spoglądali, to widzieli „niebo otwarte”. „Kapała se oczy we źródelku”, powiadano o niejednej. Pić jednak w ten dzień wody nie wolno, bo by się przez cały rok miało pragnienie. „Kto chce, niech w to wierzy, a kto nie chce, niech nie wierzy. Mnie się te bajki podobają. Stwierdziłam, że musi być w nich jakaś prawda, bo ile razy przy Kamieniu i przy Źródelku odchodziły ode mnie różne bóle? Tylko od jednego bólu nie mogłam się uwolnić, od tego, który zadawał mi Andrzej. Ostatnio była u nas komisja z województwa. Pobrali próbki wody ze Źródelka. Jeden z komisji powiedział, że wyniki mogą być bardzo ciekawe”.

Nie ma już dawno dziadka Tomasza (dzisiaj byłby już pradziadkiem), nie ma Antoniego, leżą sobie spokojnie na cmentarzu janińskim, nie wyklócają się już, nie ma nauczyciela Jasińskiego, którego zabili gestapowcy, a Kamień stoi i pamięta ich spotkania i rozmowy. To my, ożywiście, przechowujemy te wydarzenia, ale patrząc na ten Kamień powiadamy, że to właśnie działo się w tym miejscu. Dlatego powiadam, że Kamień jest także pamiątką po Łukaszu, taką samą jak list. Przy tym Kamieniu, gdzieśmy się tak często spotykali, uratowałam człowieka. Gazeta o tym pisała. Oto ta wzmianka: „Grupa harcerzy, którzy tego lata znajdowali się na obozie letnim, odkryła ciekawą i wzruszającą historię z ostatniej wojny. Bohatera tego wydarzenia, Wiktoria, 24 grudnia 1943 roku uratowała życie ciężko rannemu partyzantowi. Był to żołnierz radziecki, który uciekł z niewoli i służył w oddziale BCh. W czasie akcji został postrzelony i gdyby nie pomoc Wiktorii, żołnierz zostałby schwytany przez żandarmów. O tej historii wydrukujemy obszerny reportaż”. Tego dnia Wiktoria poszła po wodę do źródelka. W wigilię zawsze musiała mieć w domu wodę źródlaną. Ta woda, powiada Wiktoria, najlepiej gasi pragnienie. To jest woda życia i w wigilię musi być w domu. W ogródku spotkała czterech uzbrojonych chłopaków. Jeden z nich był ranny. Nie mógł iść. Chłopaki powiedzieli, że ścigają ich żandarmi. Wiktoria zdecydowała się natychmiast. Wnieśli rannego do izby, którą dawniej zajmował Tomasz. Andrzej nie był zorientowany, bo w tym czasie był u nauczycielki. Kiedy dzielił się opłatkiem, wpadli Niemcy. Jeden z nich krzyczał po polsku: „Tu są bandyci. Widzieliśmy, jak uciekali do waszego sadu. Gdzie oni?”. Andrzej aż poderwało. „Niech mnie Bóg skarze, nie ma tu nikogo, nikogo nie widzieliem!”. Jego oburzenie było tak szczerze, że żandarmi uwierzyli. Wiktoria też potwierdziła: „Nie było nikogo”. Jagusia się wtrąciła: „Słyszałam jakiś wóz na drodze”. Niemcy wypadli z domu. Wiktoria jeszcze nie nie mówiła, dopiero kiedy nabrala pewności, że żandarmi nie wrócą, powiedziała do męża, że mają gościa na wigilię. Andrzej tak się wystraszył, że nie mógł jeść. „Kobieto, krzychał, przecież by nas rozwalili natychmiast”. „A gdybym ci powiedziała, to byś zgłupiał jak teraz, odparła. Wtedy by nas na pewno zabrali”. Ranny był u nich do nowego roku. Musieli sprowadzić do niego lekarza. Wiktoria położyła się do łóżka i udawała chorą. Woźniaczka, która wtedy przychodziła do nich codziennie, dawała ludziom do zrozumienia, że Wiktorię mąż pobił. Ludzie uwierzyli, bo zawsze wierzą, jeżeli się źle mówi o ich krewnych i sąsiadach. Andrzej miał w tych dniach bardzo nieszczęśliwą minę i unikał ludzi. Dopiero kiedy partyzanci zabrali rannego, twarz mu się wypogodziła. Powiedział do Wiktorii: „Tej wigilii nie zapomnę do końca życia. Ale Tomasz nie doczekał się swojego Wani!”.

NIEZNANE LISTY JULIANA TUWIMA

DO ŁÓDZKICH DZIECI

W opublikowanym dziesięciu listach po śmierci Juliana Tuwima — tomiu wspomnień, sporo miejsc poświęcono korespondencji poety z młodzieżą szkoły podstawowej w Inowłodzu.

Wiadomo — Inowłódz był Poeci blisko. Poświęcił mu wrzaskające strofy w „Kwiatkach polskich”, bo przecież tu

.....nieśmiała,

Panięśko smutna i nerwowa
Z Ira i Julkiem przyjeżdżała
Pani Adela Tuwimowa”.

Łódzki Oddział Związku Literatów Polskich z funduszu założonego przez Poetę zakupił dla szkoły w Inowłodzu książki — Julian Tuwim postanawia ów księgozbiór wzbogacać, a ponadto ufundować dzieciom pracownię naukową i wyposażać ją w odpowiednie przyrządy. Między Poetą a młodzieżą wywiązała się serdeczna korespondencja, która trwała aż do grudnia 1953 roku.

Mato kto jednak zapewne wi., że Julian Tuwim korespondował również z młodzieżą podlódzkich Łagiewnik. Niedawno trafiły do moich rąk dwa listy poety z przełomu lat 1949—1950.

Oba listy pisane są na papierze o formacie 15 x 21 cm,

z granatowym nadrukiem: „Julian Tuwim”. Pierwszy nosi datę: „Warszawa, 15. XI. 1949”, pisany jest na maszynie i podpisany ręcznie. Skierowany jest do nauczycielki, bądź wychowawczyni — prawdopodobnie sanatorium dziecięcego w Łagiewnikach.

„Wielce Szanowna Pani List Pani i piękny dar od dzieci ucieszyły mnie i wzruszyły niewymownie. Jestem szczęśliwy, że tym skromnym upominkiem mogłem sprawić choć trochę radości moim młodocianym ziomkom. Żywo przypominały mi się lata dzieciństwa, gdy się do Łagiewnik chodziło na wycieczki, lub po prostu zmykało na wagar. Jak to pięknie, że Łagiewniki stały się dzisiaj miejscem, w którym dzieci znajdują zdrowie i radość.

Życzę im zdrowia przede wszystkim, po wtóre zaś takiej przyszłości i takich czasów, w których bestie w ludzkim ciele nie będą mordowały starych, samotnych kobiet, jak zamordowały moją nieszczęśliwą matkę.

Kochane dzieci — Wasz śliczny, zbiorowy list jest jednym z najmlodszych, jakie w życiu otrzymałem. Tymczasem znamy się tylko z korespondencji, ale

gdy będę w Łodzi, przyjadę do Was i zawręmy bliższą znajomość. Gdybyście kiedykolwiek miały ochotę do przeczytania jakiejś książki, której w bibliotece waszej nie ma, napiszcie do mnie, a chętnie ją Wam wyślę. W ten sposób biblioteka wasza będzie stale rosła.

Wielce Szanownej Pani przesyłam wyrazy poważania, a moim młodym przyjaciołom najserdeczniej pozdrawiam.
JULIAN TUWIM”

Był to — przypomnijmy — rok 1949. W marcu tego roku Poeta otrzymał tytuł doktora honoris causa Uniwersytetu Łódzkiego, a w grudniu miasto Łódź przyznało mu (po raz drugi w ciągu 20 lat) nagrodę literacką. Prawdopodobnie w związku z tą nagrodą Julian Tuwim — mimo złego stanu zdrowia — planował przyjazd do Łodzi.

Niestety — stan zdrowia Poety pogorszył się znów, był po przebytej w marcu ciężkiej operacji, licznych transfuzjach, po których przyplątała się malaria. „Miałem trzynastu krwiodawców — mówi potem Poeta — przekonany jestem, że to trzynasty właśnie uraczył mnie tym miłym choróbkiem” (Halina Kosskowska, „O moim sze-

fie”, w tomie: „Wspomnienia o Julianie Tuwimie”, Czytelnik, 1963).

Po odbiór nagrody do Łodzi nie przyjechał.

Drugi list do młodzieży w Łagiewnikach napisany jest ręcznie i brzmi:

„Kochani przyjaciele! Bardzo Wam dziękuję za przesłane mi życzenia. Na pewno bym Was odwiedził, będąc w Łodzi, ale tak się niefortunnie złożyło, że niestety nie będę mógł przyjechać na uroczystość wręczenia mi łódzkiej nagrody. Muszę więc i wzięty w Łagiewnikach odłożyć do czasu, gdy się stan mego zdrowia poprawi.

Serdecznie Was pozdrawiam i przypominam o swej prośbie: abyście mi od czasu do czasu dawały znać, jakie dodatkowe książki przydałyby się w Waszej bibliotece. Każde takie „zamówienie” sprawi mi tylko radość i zawsze będzie uwzględnione.

Zalącam słowa przyjaźni i pozdrowienia

JULIAN TUWIM”



List ten nosi datę „13 stycznia 1950”.

Ponieważ nie zachowały się koperty, nie wiadomo jak brzmiało nazwisko nauczycielki (wychowawczyni?), będącej inicjatorką listów dzieci do Poety. Nie wiadomo też dokładnie czy chodzi tu o dzieci z sanatorium w Łagiewnikach, choć zdaje się to z listów wynikać.

Nie wiadomo też, jakie były dalsze dzieje tej korespondencji — listy trafiły do mnie bez

kopert, okrężną drogą przez Łask, znalezione w starym numerze „Skamandra”.

Myślę, że ten nie znany dotąd fragment szerokiej korespondencji Juliana Tuwima ze swoimi najwzdzięczniejszymi, młodymi czytelnikami wart jest przypomnienia. Charakterystyczny on bowiem Poetę, jego serdeczny, poważny stosunek do swojej pisarskiej misji, jego wrażliwość i czułość.

JERZY WILMAŃSKI

29 września 1901 r. odbyło się uroczyste otwarcie Teatru Wielkiego w Łodzi, wybudowanego przez Fryderyka Sellina, przy ul. Konstanytownskiej 14 (dzisiejsza Obrońców Stalingradu). Na otwarcie zaproszono cały parnas polski z Henrykiem Sienkiewiczem i Henrykiem Siemiradzkim na czele, przy czym literatów przono o nadesłanie swych prac do „Almanachu Sceny Polskiej w Łodzi”, który miał uświetnić inaugurację.

Henryka Sienkiewicza, który bawił przejazdem w Kominogrodzie jeszcze na dwa miesiące przed otwarciem Teatru Wielkiego poproszono o jakąś nowelkę dla Łodzi. Tak w mieszkaniu Antoniego Stamirowskiego autor „Trylogii” napisał „Toast”, w którym uwiecznił kilka nazwisk swych łódzkich przyjaciół.

Z okazji pobytu Sienkiewicza w Łodzi, ogłoszono konkurs jego imienia na utwór dramatyczny. Pierwszą nagrodę w tym konkursie uzyskał Tadeusz Rittner za „Maszynę”, drugą — Edward Grabowski („W noc lipcową”), trzecią Stanisław Brzozowski („Mocarz”).

HENRYK RUDNICKI

HENRYK SIENKIEWICZ

TOAST

Było ich około pięćdziesięciu. Mieli jechać na nocny podjazd, ale tymczasem siedzieli przy ognisku i, spożywszy kilka beczek, których smakowity zapach czuć jeszcze było w powietrzu, popijali gorzałkę. A zdarzyło się tak dzwinnie, że choć była ich garść niezliczna, zebrał się ludzie z różnych stron Rzeczypospolitej, jako to: wolentarze spod pana Muraszki i spod pana Zboińskiego z Mazowsza, i spod pana Prokazy, którego kresowym ochotnikiem przewodził. Komenderowano po kilkunastu z chorągwi, dlatego że każdy pułkownik chciał mieć w podjeździe swoich ludzi.

Rej przy ognisku wodził, jak zwykle, pan Zagłoba, ale nie był w dobrym humorze, albowiem lubił się wywczasować a tu tymczasem trzeba było czekać komendy, a potem ślajać

na koń i ciągnąć pod nieprzyjaciela. Pieczony udziec barani i dwie lub trzy kwatery gorzałki pokrzykiwały wprawdzie a-eo ducha w starym wojowniku — jednakże nie przestal ludziom dogryzać, co omaal nie stało się przyczyną ciężkiej niezgody i wielce ostrej pojedynek.

Bo gdy tak siedzieli popijając, trafiło się, że nad przegasył ognikiem oberwała się na nocnym niebie gwiazda i, ciągnąc za sobą świetlistą strugę, zgasiła gdzieś w ciemności blisko ziemi.

Co widząc pan Pluta, Mazur, stary żołnierz spod Zboińskiego, przeżegnał się i rzekł:

— Może to gwiazda którego z nas?

Lecz Zagłoba dmuchnął przed siebie po wapieniu nowej kwatery, odsapnął i rzekł:

— Nie waćcina!
— A czemu to?

— Bo Mazurowie ciemną gwiazdę mają a ta była jasna!

— Niejednemu już co tej gwiazdzie przymawiał świeczki stanęły w oczach.

— Świeczki tym potrzeba którzy się ślepo rodzą.

— Nie daj, panie Pluta, przymawiać Mazurom — zawołał pan Skulski, który, lubo leczycanin, służył z nimi od dawnych lat.

— Więc pan Pluta — cięta szabla, ale jeszcze ciętszy język. wrz odparł:

— Mazur ślepo się rodzi — ale za to, jak przewidzi, to kpa i przez deskę rozeźna.

Myśleli tedy wszyscy, że pan Zagłoba raz przeżył w życiu nie znajdzie odpowiedzi, ale on począł tylko przytakiwać głową i rzekł:

— Słusznie! Słusznie! Ma się rozumieć! Swoją swego i przez deskę rozeźna.

Na to śmiech wielki powstał kolo ogniska, a najgłośniejszym śmiał się pan Sipajło spod Oszmiany.

— Boże-ż ty mój! — mówił. — Ot, zapomniał języka w zębie. A ja by się nie dał tak skonfundować nawet i panu Zagłobie. Nie wiedzieć co! Niechby tylko...

Tu pan Zagłoba czując się poniekąd wyzwany, spojrzal na niego niezbyt życzliwie, a pan Pluta, rad, że może na kogoś złość wyrzucić, huknął:

— Młeczalbyś, Boćwino! Nie tobie, kłócić prochu nie wachał, zabierać głos między sławami żołnierza.

— Nie wachał, albo i wachał — odpowiedział z flegmą Sipajło. — Lepiej ja się może i cęścię od waszmości potykał.

— Prawdę mów — zawołał Zagłoba — przecie to osmiałski szlachcie, co w jednym bucie a w jednym łapciu chodzi. W takowym stroju, zwłaszcza w zimie na gruzdzie, musiał się często nie tylko potykać, ale i zgola przewracać.

Tu znów rozeźmieli się wszyscy, a pan Sipajło, więcej wrażliwy, niż wymowny, trzasnął z cicha szabla i rzekł:

— Kto mnie poprosi temu nie odmów!

Lecz witebszczanin, pan Portanty, począł go mitygować:

— Nie gniewaj się waś i nie ujmuj za głupia moda.

— Leniej konserwować taką modę, niż mieć czarne podnie-

bie jak witebszczanin — odpowiedział Sipajło.

— Lepsze czarne podniebierie niż głupia głowa!

— Co u dytka — zawołał pan Tretiak spod Humania. — Dość mi tych swarów przed wyprawą.

— Czego się waś wtrącasz?

— zapytał pan Skulski, leczycanin.

— Bo mi się podoba!

— A mnie się nie podoba. Patrzcie go, humańczuk! Potrafia i waści przymówić.

— To przymów.

— A dobrze! Bre! Bre! Humaniski dureń, co z cudzego wozu bierze a na swój klade.

— Stul-że głowę piskorku. Siedem razy Kaczka cię polknęła i siedem razy się wysiłznał.

— Ty zaś się nie wysiłzniesz! Parol!

— Dobrze! Parol! Jutro!

— To i ja kogo poproszę! — rzekł pan Pluta.

— Lepiej moich wnuków — odparł Zagłoba.

— A jaż to ostatni! — zapytał Sipajło.

— Kogoś waś prosisz?

— A! Co wybierać... wszystkich i kwita.

— Baczność! — zawołał Zagłoba.

Jakoż do ognia zbliżył się oficer spod chorągwi pana Radziewskiego, a jednocześnie ozwał się ciche trąbienie przez musztuk.

— Na koń! — skomenderował oficer.

Po czym do pana Zagłoby:

— Siła na tym podjeździe załęży, więc staraj się waś dostać konieczne języka, choćby też sam miał poleć z połową ludzi.

— Dobrze — odpowiedział stary rycerz, lubo muszę wasci rzecz, że takie polecenie łatwiej komuś dać niż samemu spełnić.

Oficer ruszył ramionami i zawrócił, a oni pojechali. Noc była gwiazdzista, ale bez księżycy. Za majdanem pół mili borku, dalej niezmiernie łaki, na nich, jako zwykle latem biały, nisko leżący tuman, niby morze bez końca. Wąska, pachnąca torfem droga biegła przez owe legi, aż hen, ku dalszym borom, między którymi stał nieprzyjaciel.

Gdy wjechali w tuman, ledwie człek człek mógł dojrzeć. A o kilka kroków nie było widać nic.

— Choć w pysk daj! — mruknął Zagłoba.

Ujechali milę i drugą. W tumanie i mroku nie było słychać nic prócz parskania koni.

Aż tu naraz trzech ludzi, którzy jechali w przedniej strazy wrócili w cwał, krzykając:

— Nieprzyjaciel! Nieprzyjaciel!

Tuż za nimi słychać było tetent nadbiegającej jazdy.

Pan Zagłoba zdarł bachmata i krzyknął:

— Bij!

I po chwili zwarli się tak, iż mogli się rękami za plecy chwycić. We mgle rozległ się sześć szabli, a czasem huk samopalu, czasem kwik koński i okrzyki walczących. Pan Zagłoba rykiem żubrowym przerażał ludzi w ciemnościach, ale i miał się okropnie, gdyż straszny to był żołnierz, gdy go znadto do muru przyparto.

Pan Skulski ciął jadawicę, po leżycy, tuż kolo pana Tretliaka. Pana Portantego chlankięto przez policzek i byłby zginął, gdyby nie pan Sipajło, który, odbiwszy drugi cios — sztychem nieprzyjaciela w gardło ugodził. Pan Pluta, stary i cięty żołnierz, wyl się wśród skrzętu, jak waż w mrowisku i bił w całe kupy, jak jastrząb w stado dzikich kuczek.

I wzajem jeden ratował życie drugiemu, a wtem wstał powiew. Tuman zrzęcił trochę. Mogli się lepiej widzieć.

Więc przyrosło im serca i zaczęli pokrzykiwać, aby tym lepiej każdy mógł rozpoznać co się z towarzyszem dzieje i kogo ma przy sobie. Pierwszy pan Sipajło, który Plucie żywot wzdęczał, krzyknął z głębi piersi w tumanie:

— Górą Mazury!

— Żywie Oszmiana! — odgłosił Pluta.

A inni, nie chcąc się dać wyprzedzić, nuż wołać:

— Sława Lęczycy!

— Chwała witebszczanom!

— Górą Human!

— Vivat Rzeczypospolita!

Ale tymczasem natarto na nich z boku, ba, i z tyłu, tak że wpadli jako wilkowi w gardziel. Ze jednak byli z różnych stron — przeto wstydzili się siebie nawzajem, więc żaden nie prosił pardonu i bił się do u-padłego — bez nadziei, na śmierć.

Byliby też wszyscy poległ, gdyby nie to, że pan Zboiński, wiedząc iż w malej liczbie i w nocy nietrudno o przegodę, pościągali z nimi w trzysta Mazurów, chłopów dobrych. Ow obegnal nieprzyjaciela, zlamal, rozbił, część wysinal, część zagarnął i uwoził podjazd spod przemocy.

Lecz nie mógł powstrzymać zdziwienia widząc ich robotę — gdyż istotnie, po desperacku się bijąc, naszatkowali ludzi jak kapusty.

— Już chyba i aniołowie nie potykali by się grzeszniej — rzekł. Zaczyn wrócili radośnie do obozu.

Ale choć świt uczynił się nim dojechali, nie poszli spać, a to dla wielkiej uciechy i dlatego, że zaczęto ich zaraz częstować. Oni zaś jedli i pili wysławiając jeden drugiego i słuchając pana Zagłoby, który co skromnie o Termodilach wspominał.

Aż gdy już dobrze podpił, pan Portanty przyłożył nagle palec do ust i rzekł:

— Ba, a nasz parol? Jakoż z nim będzie?

— Parol? Zjadł go nieprzyjaciel!

— I trochę mu niezdrowo — dodał Zagłoba.

A wtem pan Pluta, który się pokrzykiwał lepiej od innych, począł uderzać się dłońmi po piersiach, aż rozlegało się w izbie, i wołać żalonym głosem:

— Ja? Na stare lata miałbym Kainem zostać i rozlewać niewinną krew Abła? Na stare lata? Ja Pluta?

I zawył wielkim płaczem — co usłyszawszy inni, kiedy bo nie ryknął — aż ludzie spod innych chorągwi zaczęli się śmiać ciekawo co im się mogło wydarzyć.

Tymczasem powstał pan Zagłoba i podniósłszy z niezmierną powagą garniec miodu rzekł:

— Komilitoni moi, dzieci eludem matris! Dwa jeno słowa powiem, ale kiedy mi kto nie przywórtzy:

— Kochajmy się!

— Kochajmy się! — powtórzili wszystkie usta.

A w tej chwili na rogach majdanu zaczęło trąbić — nie przez musztuk, ale rozgłośnie, jak czyniono zwykle przed wielką bitwą.

URWAŁ SIĘ Z CHOINKI...

Chciałem Czytelnikom zarekomendować jakąś lekką lekturę pod choinkę, ot, choćby kryminał. Niestety — po przejrzaniu bieżącej produkcji wydawniczej w tym zakresie doszedłem do wniosku, że to nie „kryminał pod choinkę”, lecz niekiedy autorzy z choinki się urwali.

Słynny Joe Alex przestał już wymyślać swoje znakomite skonstruowane szarady odkąd — już jako Maciej Siemczyński — zajął się na dobre Joyceem. A inni piszą w stylu „zabili go i uciekli...” Jak pracownicy pan Edigey, który na jednej i tej samej stronie książki potrafi napisać, że bohaterowi w bólu złamali rękę, więc (trzy zdania dalej)... utyka na nogę.

Najbardziej jednak efektywnie urwał się z choinki pan J.F. Kryspin w kryminale „Platyna w jaszczurka”. Nie chcę podpuszczać naszej ludowej MO, ale za takie szkolenie aparatu ścigania należałoby się do najmniej kolegium.

A więc najpierw jest efektywne morderstwo w toalecie pociągu Warszawa — Szczecin. Oficer dyżurny komendy wojewódzkiej w Poznaniu zostawia wszystko... i wsiada do pociągu, aby prowadzić śledztwo na

miejsku. Już za to należy się dyscyplinarka. Autorowi oczywiście.

Rozczulająca się jest scena na dworcu w Poznaniu. „Do Kuli-ka (onże oficer dyżurny) podszedł kierownik pociągu. — „Panie poruczniku, już mamy dwadzieścia minut opóźnienia... — powiedział. Czy to jeszcze długo potrwa...” A dalej — „Kierownik pociągu nerwowo przestępował z nogi na nogę. Dyżurny ruchu w czerwonej czapce i z lizakiem w rękę ostentacyjnie spojrział na zegarek”.

Ludzie kochani! Pociąg Warszawa — Szczecin przyjechał do Poznania z parominutowym opóźnieniem i w ogóle obsługa się tym przejmując. Kiedy się dzieje akcja? Przed pierwszą wojną światową? Kogo obchodzi takie sprawy? Trupa nie ma w wagonie, a pociąg do Szczecina ma regularnie 120 minut opóźnienia!

Kiedyś mówiono, że kryminały, przynajmniej codziennie życie opisują mniej więcej wiernie. Dziś i to nieprawda.

Potem — po paru dziwnych pomysłach autorskich — zjawia się na scenie stołeczny as kryminalistyki „o którego sukcesie

sach śledczych, a zwłaszcza metodach stosowanych w rozwiązywaniu najbardziej skomplikowanych spraw, krążyły istne legendy”.

I znów nas pan Kryspin nabiera. Okazuje się, że — z woli Autora — warszawski spec nie sprawdził najprostszego sprawy, jaką należało sprawdzić w wypadku denatki. Dopiero gęspiosa — i to przypadkowo — opowiada o handlowych podróżach zamordowanej, „a to do Wiednia, a to do Berlina, do Budapesztu, do Turcji, do Włoch...”

Więc kolejna dyscyplinarka dla Autora, za zaniedbanie obowiązków. Żeby to wyglądało jeszcze bardziej nieprawdopodobnie — kobietę zamordowano w podróży do Szczecina, skąd miała jechać w kolejny rejs do Afryki.

Więc pytam — czy milicja nie powinna sprawdzić kwalifikacji pana Kryspina, piszącego piramidalne bzdury o pracy organów ścigania?

Kwalifikacje pana Kryspina nie są też mocniejsze w innych kwestiach. Oto scenka z przesłuchania Maniusia Sztajfy który w bufecie dworca Warszawa Zachodnia „od świtu zamawiał się piwkiem”.

„Manius wprował do gabine- tu niezbyt pewnym krokiem. Ukłonił się wytwornie, a gdy tylko otworzył usta, w gabinecie zapachniało niczym w gorzełni”

Stop — panie Kryspin, Jeśli Manius się zaprawiał piwkiem, w gabinecie mogła zapachnieć niczym w browarze. W gorzełni bowiem produkuje się spirytus, służący do produkcji wódek. Tą z kolei można się także zaprawiać, ale na przykład przy lekturze zdumiewająco naiwnych powieści. Przy pisaniu tychże — również.

A kto był mordercą? Oczywiście niejaki Sójka, który pojawia się w powieści dopiero pod koniec, aby wrzeszcze kryminał mógł się skończyć. To zresztą nie ma większego znaczenia, bowiem już od tytułowej strony wiemy, o co chodzi. Oczywiście o „platynową jaszczurkę”, broszkę, którą denatka wiozła na handel. Oprócz wszystkich innych bzdur, pan Kryspin popełnił największą — już w tytule powieści zdradził motyw i punkt afery.

Tak więc nie będzie „kryminału pod choinkę”, tylko nieszczyśny autor, który z choinki się urwał oraz 200 tysięcy czytelników, którzy za fałszywą biżuterię zapłacili Krajowej Agencji Wydawniczej 4 miliony złotych.

WIDOK

GALERIA PISARZY ŁÓDZKICH

JAN HUSZCZA



I co, że burczy Ale twórcy.

Rys. Stanisław Ibis-Gratkowski
Tekst: Mieczysław Michał Szargan

ONASSIS I HIQB

Ptolemeusz II (a może Ptolemeusz, bo spotykamy w literaturze obie te formy imienia) Filadelfijski, król Egiptu pochodzenia macedońskiego, żył trzysta lat przed naszą erą, założył w Aleksandrii muzeum i bibliotekę, sfinansował cały ówczesny świat wielkim bogactwem zbiorów. Omar I, syn Abu-Bekra, podbił Egipt w połowie VII wieku naszej ery i polecił spalić Bibliotekę Aleksandryjską, liczącą sobie wtedy — co łatwo wyliczyć — prawie tysiąc lat istnienia. Księgami z Biblioteki opalano łaznie Aleksandryjskie, aby kalif i jego dworzanie mogli się plawić w gorącej parze.

Obydając nieważnie stanu spotkali się wiele wieków później w zaświatach, na Polach Elizejskich, gdzie „wszyscy są sobie równi” i mogą z perspektywą wieczności osądzać własne i cudze czyny, spoglądając na nie w sposób bardziej obiektywny, ocenając to, co już przeszło i dokonane” cytując z książki Zofii Sinko „Oświeceni wiśda pól Elizejskich — Rozmowy zmarłych — Recepta — Twórczość oryginalna” — Ossolineum, 1976 rok).

Ptolemeusz (czy też Ptolemeusz) zarzucił Omarowi zbrojstwo i dzi-

kość, po czym taka się wywijała między nimi rozmowa, spisana przez biskupa Krasickiego w „Rozmowach zmarłych” z roku 1804: — „Cóż wam księgi nadaly? — pytał kalif. — Wszystko — odpowiedział król. — Dobre czy złe? — Dobre. — Dobre księgi są rzadkie. Między zły jest jeden głupi, o te mniejsza; drugie złe ze swojej istoty. Między tymi, które dobrymi zowią, są jedne ze stylu dobre, a rzeczy złe, drugie dobre z rzeczy, ze stylu ładne; są na koniec, a takich najwięcej, co jedna druga powtarza. — Byłby jedna w tej całej liczbie spalonych była dobra, żył był winny. — A kto wie, czy by ta jedna nie powiedziała, iż się bez ksiąg obejść można...”

Sokrates, medrecz z V wieku przed naszą erą, spotkał na tychże Polach Elizejskich Montaigne'a, filozofa francuskiego, żyjącego u jedynakcie wieków później. Stary Grek ucieszył się bardzo, licząc na to, że Francuz opowie mu coś o świecie mądrzejszym i lepszym niż za jego czasów. Montaigne jed-

nak mówi, a słowa jego spisał Fontenelle w wieku XVII w „Dialogach zmarłych” (Mała Encyklopedia Powszechna przy haśle „Fontenelle” podaje, że był to autor „Rozmów o wielości światów” oraz „Dziejów wózków”). Napisał jeszcze bardzo wiele książek, żył sto lat, miał czas. Te o wielości światów i te o wózkach znam dobrze. Ale MEP nie trafia w sedno — powodem do nieśmiertelnej sławy nie była żadna z nich, tylko właśnie „Dialogi zmarłych” — rzecz, która zafascynowała mnie wiele lat temu, rzecz do której ciągle wracam, którą uważam za jedną z najświetniejszych, najlepszych, najciekawszych, najpiękniejszych książek świata; — „Alboż to ludzie w doświadczenia zapuszczają się? Podoba mi się piątek, które temiż głowami się siałkami dają, którym ulowiono... — ludzie wszystkich wieków, nie same skłonności mają, nad którym rozum żadnej władzy nie ma; za tym gdziekolwiek są ludzie, są też i błędy, a to jeszcze te same błędy...”

Dobrze, że lubię takie miejsce — chociaż tylko w wyobraźni postrzegam „Dziękuję — gdzie spotkać się mogą historycy o wielości światów” i poprawiać „lepiej niż my o sprawach tego świata, bo patrzą na nie z większą obojętnością i większym spokojem,

a chęć o nie rozprawiać, bo włą- że ich z nich jeszcze resztką za- interesowała” (Fontenelle, wstęp do „Rozmów zmarłych” w przekładzie J. Zermara). Dobrze, że Aleksander Wielki, który zburzył muru Try, może sobie pogadać z piękną kurtyzaną Fryne, która poleciła „budować ją na nowo, używając na ten cel zarobki uzyskane z uprawianiem najstarszego zawodu świata.”

„Piękność ma wrodzone prawo do rządzenia ludźmi — mówi Fryne — władza nabyła to prawo tylko siłą. Do pięknej kobiety każdy kraj należy, do królów lub nawet zdobywców tylko pewnie. Dałyby cięgie nie wiadomo dokąd, zdobywając cięgie miasta nie wiadomo po co, rzucić się cięgie nie wiadomo w jakim celu — to u wielu rozumnych ludzi musiałoby spotkać się z potępieniem...”

No co Aleksander? — Gdybym roztropnie i oszczędnie używał swej potęgi i swojego szczęścia, nikt by o mnie nie wspominał...”

Najpiękniejsze w dialogach Fontenelle'a jest to, że wszyscy ich uczestnicy mają rację. Te pełne paradoksów, dowcipne dialogi wzorował autor na „Lecturze z Samosaty, który cały ten szatunek literacki wynalazł i do dziś uważany jest za jego patrona. Wtyle jeszcze wiele pisarzy, następujących „Dialogi Zmarłych”. Był nasz Krasicki, był

Anglik Lyttelton i we Francji Wolter oraz przed nim — Fenelon. To Fenelon spisał „Rozmowę po śmierci między Solonem (prawidłkiem rzymskim sprzed 23 stuleci a Ju- stynianem, 900 lat później panującym cesarzem rzymskim), w której pierwszy dowodzi, że prawa powinny być w małej liczbie, zaś wielość ich jest szkodliwa państwu”. Czyż nie brzmi to jak aluzja do naszej lawiny przepisów i zarządzeń, których nikt ani nie stosuje, ani nawet nigdy na oczy nie widział?

To Fenelon pisał „Rozmowę po śmierci Cyncera (mówcy rzymskiego sprzed dwóch tysięcy lat z okładem) z Augustem (o dwóchset lat późniejszym cesarzem), jako chęć przypodobania się osobom na wysokich urządach będącym nie odnosi czestokroć innego skutku przez wgardy i nienawiść u ludzi znaczących. Co do aktualności tej tezy może być ciut za- wahali; czy chęć podobania się nie innego prócz wgardy u ludzi znaczących nie przynosi? Chyba jednak... Chyba jednak się oplaca, niestety, nawet kosztem owej wgardy, z którą nie leża się podskakiewie o kacych żołądkach...”

Pani Zofia Sinko wydała uczoną a świetną rozprawę o rzyńskich „Dialogach zmarłych”, ale tylko o tych sprzed setek lat. Szkoda, że nie są nam dziś dostępne np. ana-

logiczne, kapitalne dialogi Salva- dora de Madariaga, publikowane w paryskiej „Marianne” w 1938 roku — zawierają one pyszne odniesienia do spraw bliższych nam i lepij znanych. A w ogóle szkoda, że nikt z dzisiejszych wielkich statystów życia publicznego, nikt z myślicieli, publicystów, pisarzy nie sięga po tę klasyczną formę. Żeby tak przeczytać na przykład rozmowę Kopernika z Zygmuntem Freudem o tym, co się dokonało czegokreci? Albo Onassisa z Hiobem o konsumpcyjnym stosunku do rzeczywistości? Albo dialog Dżyngis Chana z Noblem o nagrodzie pokojowej? Żeby obaj mieli rację: Nobel, wyznacza dynamit, dający nagrodę za działalność na rzecz pokoju, i Dżyngis Chan, jeden z najkrwawszych wojowników i burzy- cieli, pretendujący do tej nagrody?

Gdybym mógł, rozpisalby konkurs na temat: Co twóim zdaniem mówią o dzisiejszych sprawach nasi wlecy przodkowie, gdy spotykają się na Polach Elizejskich? Bo jeśli nie nie mówią, to dlaczego my mamy ciągle rozstrząsać sprawy sprzed wieków, a pómłczyć o dniu dzisiejszym?

ĆWIEK

GOSPODARKA POLSKA I EUROPEJSKA

Zaledwie kilka tygodni temu pisałem na tym miejscu o książce Jerzego Topolskiego „Markizm i historia” i akcentowałem doniosłe znaczenie tej publikacji nie tylko dla rozwoju naszej współczesnej historiografii. Teraz mam przed sobą autorskie, mianowicie świeżo wydane przez Wydawnictwo Poznańskie (1977) jego książkę opartą na tytule: „Gospodarka Polska a europejska w XVI-XVII wieku”. Polska dobie tak na poprzednią, również w wieloletniej już przez autora o- blikowanej w kilku tomach. Teraz zostały one przerobione i uzupeł- nione, połączone w koherentną całość.

Nowa książka J. Topolskiego przynosi studia dotyczące dziejów polskiej gospodarki w XVI-XVII wiekach mające znaczenie dla zrozumienia również i epok późniejszych. Punktem wyjścia dla docie-

kań autora było — jak powiada on we wstępie do książki — „zależnie, stopniowo coraz bardziej ugruntowywane, o niemożności zrozumienia procesów gospodarczych zachodzących w Polsce w wiekach XIX i XX bez zdania sobie sprawy z osiowości wcześniejszych ich rozwoju”.

To przecież ustrój gospodarczy, który uformował się na naszych ziemiach na przełomie średnio-wiecznej i czasów nowożytnych, w wielkiej mierze „przesadził o kierunku dalszych zmian w sferze nie tylko gospodarczej, lecz również społecznej, kulturowej i politycznej”. Tak silne, jak to było u nas, utrwalenie się feudalnych struktur folwaczno-pańszczyźnianych, zaowocowało przecież w agrarizacji Polski, w zahamowaniu rozwoju miast, mieszczaństwa, przynajmniej złożyło się na historyczne konsekwencje, sięgające aż do współczesności. Ono to uwarunkowało, jak podkreśla historyk, „że

problem agrarny wysuwał się w programach politycznych na bardzo poczesne miejsce, zaś kwestia reformy rolnej była aż do roku 1848 problemem nader istotnym w życiu narodu”.

Historyczno-gospodarcze badania J. Topolskiego są inspirowane przez współczesność, a jednocześnie przy- czyniają się do lepszego zrozumienia tej ostatniej. W porównaniu z jego poprzednią książką o charakterze metodologicznym, studia zebrane w tej książce wydają się być bliższe temu wszystkiemu, co historyk czyni najczęściej źródłowej historycznej empirii. Kiedy jednak dokładniej wejrzymy w tekst roz- wagań uczonoego pryncypia, nie, że jego badawcza „empiria” jest nie- rozważalnie połączona z refleksją metodologiczną, że przystępując do badania jakościowo konkretnego zagadnienia historyk dokonuje wiśklwego rozważania „sytuacji badawczej”, przeprowadza krytykę

dotychczasowych kategorii umowa- nia danych zjawisk i procesów, proponuje odmienne ukierunkowane badania. Szczególnie instruktyn- ny jest pod tym względem pierwszy rozdział, poświęcony „Zagadnieniu modelu gospodarki polskiej XVI-XVII wieku”. Mówiąc o sytuacji w badaniach z historii gospodarczej J. Topolski zauważa tu, że błądny rozwój prac szcze- gólnych, przysparzających niejednokrotnie — w związku z wykorzystywaniem coraz nowych metod — in- ferencje wyłki, powstaje w niej- kiej sprzeczności proponowanym przez historyków ujęciem syntetycznym. Wych ostrożnie bowiem „dostrzec można wyraźne istnie- nie określonych barier, uniemożliwiających widzieć poza tradycyjny sposób ujmowania zagadnień, a więc i poza określony kraj wna- sków”. Dlatego też uzyskiwane na drodze sumowania wyników badań szcze-gółowych ujęcia syntetyczne mają charakter „miej lub bardziej uporządkowanego opisu faktów i czastkowych zależności”, bądź też stanowią „możliwe analizy fragmen- taryzowanych”. Trudno się dziwić, że taki stan rzeczy autor musiał uznać

za niezadowalający. Akcentuje on, że niepodobna go zmienić bez u- świadomienia sobie, o jakie bariery tu chodzi”. I dalej: „Jest ich chyba wiele, lecz wszystkie wywo- dzą się z braku w obu typach scharakteryzowanych wyżej syntez świadomego odwołania się do teorii pozwalających na wytypowanie czynników, które należałoby wziąć pod uwagę, na ich hierarchiczne uszczegółowienie (...) oraz na ujęcie rozróżnionych faktów i procesów w dynamicznym i strukturalnym powiązaniu ich ze światem w sto- sunku do nich zewnętrznym”.

Wierzę, że niegdyś — a niekiedy za tego zdania i dzisiaj — że „empiryczne” badanie faktów samo z siebie doprowadzi historiografii do syntez, która wyłoni się właści- wie sama na odpowiednim etapie rozwoju badań. Praktyka rozwoju historiografii zaprzecza coraz wyraźniej tym nadzieleniu. Kwestionuje się otwarcie współczesna metodolo- gia historyczna, nawet nie tylko mar- kistowska. Coraz też częściej historycy nawet mało skłonni do nowa- torstwa zauważają, że wprawdzie historia robi się z faktów, ale że one same historii jeszcze nie two-

rze. J. Topolski walczy ze zły- mi tradycjami ograniczania ambicji historiografii do kolekcjonierstwa faktów jako metodologii. Walczy z nimi również jako badacz dziejów gospodarczych Polski XVI-XVII wieku, dając tego dowód w omawianej tu książce, w której demon- struje niewystarczalność naukowej bezpodstępności tradycyjnych jedynie „faktograficznych” ujęć. Powiada: „Nie nawołujemy tu do zastąpienia materii historycznej teorią, lecz jedynie do posłużenia się teorią dla adekwatnego tej materii od- tworzenia i wyjaśnienia. Teoria w tym ujęciu nie jest, rzecz jasna, jakimś niewzruszonym zbiorem twierdzeń, lecz jedynie hipoteza wy- magańska stałej weryfikacji i roz- wijalności. Warto zapoznać się z tym, jak wybitny uczony realizuje te założenia w praktyce. Warto, aby do tej książki sięgnął również ten, który zmrużył się leniwo przed nami historii, antologii historia gos- podarcza.”

ANDRZEJ F. GRABSKI

DZIEŃ POWSZEDNI

Pomysł ze świętami urządzonymi tradycyjnie dwa razy do roku ma i te dobre strony, że zmusza ludzi do zrobienia generalnych porząd- ków. Wprawdzie zdarza nam się w ciągu roku mieć i po trzy dni wolne od pracy, ale są to dni wolne a nawet święteczne nie obrosłe jeszcze tradycją. Czasem jednak wydaje mi się, że ludzie w tych przedświątecznych przygotowaniach ociężałe przesadzają, ale to już jest ich sprawa. W końcu wszyscy po dwóch świątecznych dniach westchną: „święta, święta i po świętach”. Jak powiada jeden z moich przyjaciół, bez takiego westchnienia na łamach prasy święta są nieważne.

Ale jak byśmy nie wzdychali w święta, przed świętami, czy po świętach, to w te dwa wolne, świąteczne dni generalnym tema- tem różniów i rozmyślań będzie nasz dzień powszedni. W dzień powszedni dokonuje się bowiem wszystko to, z czego możemy być zadowoleni, co nas drażni, co nam przeszkadza i co nas martwi.

To w dzień powszedni Marek Pietrzyk z ul. Róży Luksemburg prowadził po pijanemu traktor, nie mając zresztą do tego żadnego prawa. Uderzył w słup sieci trakcyjnej. Kolegium na Bałutach wy- mierzło mu za to grzywnę w wy- sokości 5 tys. złotych, dając mu

możliwość zamienienia tej grzywny na 50 dni aresztu.

Również w dzień powszedni Sabina Kamińska z ul. Nowej ukra- dła sprzed sklepu WSS „Społem” przy ulicy Przedzabianej cztery butelki mleka, wartości około 22 złotych, za co dostała 4,5 tys. zło- tych grzywny, również z możliwo- ścią zamienienia jej na 50 dni aresztu.

W nocy natomiast Halina Kubiak urządziła przy ulicy Krawieckiej zabawę, w czasie której pito ra- czej nie mleko tylko coś wręcz przeciwnego, toteż nie należy dzi- wać się, że sąsiedzi mieli dość tej zabawy, jako że jej uczestnicy głośno się zachowywali. Dali znać milicji i sprawa oparła się o kole- gium. Kolegium na Bałutach znów ukarało Halinę Kubiak grzywną w wysokości 4,5 tys. złotych, zaszre- gając, że jeśli nie wpłaci jej w terminie, to zamknie się ją w areszcie.

Wszystkie trzy informacje zamieścił „Express Ilustrowany” i

chwala mu za to. Reporter, który interesuje się tym, o dzieje się w kolegium, nie ma obowiązku myślenia. On zbiera tylko fakty i po- daje je do publicznej wiadomości ku przestrodze innych Ma to swój walor wychowawczy, reporter od- daje opracowane informacje swo- jemu wychowankowi, który już powinien pomyśleć, czy nie musi, bo mu się może śpiężyć, bo może mieć inne zamierzania na głowie i nie zwróci uwagi na jakies tam „michaliki”.

Czytelnik wszakże ma przywilej myślenia. Jest to dobitnie dowo- dane mu wraz z możliwością czy- tania gazet. Czytelnik jednak musi, że z tego dobitnie dowiedzieć, korzy- stać lub nie. Jeden z czytelników skorzystał z tego przywileju i za- pytał mnie, bo akurat miał być na- rok, dlaczego w trzech ówczesnych przypadkach, których śledzina wymowa jest bardzo różna kole- gium zareagowało w podobny spo- sób. Czyż istotnie jazda pijanemu traktorem bez prawa jazdy „kosztuje” w kolegium tyle samo, co ukradzenie 4 butelek mleka? A czy jazda po pijanemu traktorem

z prawem jazdy „kosztowałaby” mniej czy więcej? I wreszcie, dla- czego zapraszanie gości, picie z nimi wódki i urządzanie burd, ma dla kolegium taką samą „wartość”, jak wzięcie sprzed sklepu 4 bute- lek mleka? I w ogóle, że jeszcze teraz zdarzają się takie historie. Dlaczego ta kobieta ukradła 4 bu- telki mleka?

— Nie wiem — powiedziałem my- ślicyemu czytelnikowi — ale mogę się z panem zgodzić, że istotnie te informacje rodzą takie wątpli- wości.

Pewien złośliwiec twierdzi, że po- pełniłszy niewybaczalny błąd li- kwidując analfabetyzm. Nauczyło się ludzi czytać i pisać, a oni już sami nauczyli się myśleć. Ludzie umiejący myśleć skłonni są do za- dawania kłopotliwych pytań, choć- kolwiek młodziacy człowiek twierdzi, że nie ma pytań kłopotliwych, są tylko kłopotliwe odpowiedzi. Więc niektórzy ludzie domagają się kłopotliwych odpowiedzi. I to wcale nie na temat pochodzenia życia na Ziemi, czy też na temat aktualnej teorii o rozwoju Kosmosu. Przeciwnie, oni domagają się często kło-

potliwych odpowiedzi na zupełnie białe pytania.

Na przykład mieszkający domu przy ulicy Radomskiej 14/16 chcie- liby wiedzieć, czy zawsze, jak u kogoś sepuje się kaloryfer, to za- raz będzie się wylaczało ogrzewa- nie w całym bloku? I pytał jesz- cze, za co bierze pieniądze konser- wator? Czy tylko za to, że umie wylaczać instalację centralnego o- grzewania w całym bloku? Jest to umiejętności, którą w ciągu 5 mi- nut może posiadać każdy.

Wprawdzie są to pytania bardzo kłopotliwe, bo dotyczą osobistych spraw jednego człowieka, a wiadomo, że do życia osobistego nie należy się wtrącać, do pewnych granic oczywiście. Tu nie ma powodu, aby te granice przekroczyć, ale ja się z pytańcami solidaryzuję. Po- siedzieć sobie w zimnym mieszkaniu, a przyjdą wam do głowy jesz- cze głupsze pytania i wątpliwości.

Wydaje mi się, że moral z tych historyk wypląwa taki, że nie wszyscy myślą, że ludzie myślą. A to jest poważny błąd.

RODAK

10840-A